

GI GAN CI

krajo
znaw
stwa



towarzystwo krajoznawcze

KRAJOBRAZ



Koordinacja projektu, redakcja publikacji: Dorota Borodaj, Jan Wiśniewski
Korekta: Joanna Wystowska
Projekt graficzny, skład: Jerzy Parfianowicz
Zdjęcie na okładce: Wojtek Radwański

Warszawa 2019



Projekt Giganci Krajoznawstwa został zrealizowany ze środków Muzeum Historii Polski w ramach programu Patriotyzm Jutra.

Niniejsza publikacja dostępna jest na licencjach BY (uznanie autorstwa), NY (użycie niekomercyjne).

G I

G A n

C I

krajo

znaw

stwa

s. 9

*Dlaczego
krajoznawstwo?*

s. 7

*Giganci Krajoznawstwa,
czyli kajaki zamiast armat*

s. 13

*Szczęśliwe
mikropodróżowanie*

s. 15

*Krótki poradnik,
jak się dobrze
spotykać
w drodze*

s. 20

*Czyj jest
krajobraz?*

s. 25

*Góry wcale nie tak
olbrzymie*



s. 56

Co widział
ksiądz Łęga?

s. 31

Państwo
Drzewoznawstwo

s. 38

Ostatnia
dzika rzeka

s. 47

Ogrodzieniec.
Początek

Giganci Krajoznawstwa, czyli kajaki zamiast armat

Pomysł na ten projekt wyewoluował w sposób naturalny z naszych dotychczasowych działań i doświadczeń. W ciągu trzech poprzedzających go lat zrealizowaliśmy zarówno szereg projektów nawiązujących do odtwarzania i umacniania lokalnych historii (jak choćby Muzeum Migracji), jak i mikrowypraw – wycieczek krajoznawczych i działań zachęcających do samodzielnego odkrywania krajoznawczego, kulturowego i historycznego potencjału miejsc w Polsce.

„Giganci Krajoznawstwa” łączą w sobie te doświadczenia: wycieczek z przymrużeniem oka, w konwencji odkrywczej, którą tak doskonale podchwyting uczestnicy naszych akcji, z działaniami edukacyjnymi, w których bierzemy na warsztat wydarzenia, postaci i miejsca ważne dla polskiej historii i tożsamości. Stąd w „Gigantach” temat – ważne wyprawy krajoznawcze lub szczególnie interesujące ze względu na lokalną i ogólnopolską historię miejsca, powiązane z ruchem krajoznawczym. Stąd również forma – w rekonstrukcjach krajoznawczych nawiązywaliśmy luźno do idei rekonstrukcji historycznych. Te drugie kojarzą się często z motywami batalistycznymi, z historią pisaną przez wielkie H, opowiedzianą już po wielokroć. Przekierowując uwagę z pól bitewnych na szlaki krajoznawcze i z nazwisk wielkich przywódców na nazwiska znane raczej wąskiemu gronu zapaleńców, staraliśmy się pokazać związek pomiędzy szlakami wędrówek pierwszych krajoznawców a współczesną tożsamością danych regionów i tym, jak o danych miejscach – ich historii i kulturze – mówimy dziś.

Ta publikacja pokazuje szlaki, jakimi szliśmy w tym projekcie – zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

W pierwszej części dzielimy się z Wami tym, jak sami rozumiemy mikrowędrowanie, jakim etosem staramy się kierować i czym się inspirujemy.

W drugiej przedstawiamy pięć tekstów inspirowanych pięcioma rekonstrukcjami krajoznawczymi, które zrealizowaliśmy latem i jesienią 2019 roku. Nie piszemy jednak klasycznych, przewodnikowych opisów, lecz raczej każdą z wypraw traktujemy jako pretekst do wysnucia zupełnie osobnej historii. Raz będzie to pamiętnik z eskapady, innym razem – literacka podróż w czasie do korzeni krajoznawstwa albo niemal podręcznikowy opis historycznych procesów, które ukształtowały krajoznawstwo na ziemiach zachodnich. Wreszcie – biograficzny reportaż o małżeństwie, które kochało drzewa, oraz esej o rzece, w której najpierw zakochał się nestor polskiego krajoznawstwa, a później także my.

Podpowiadamy Wam, jak odtworzyć nasze krajoznawcze wyczyny. Odsyłamy Was do źródeł – tekstów, bohaterów i historii, którymi się inspirowaliśmy. Przede wszystkim jednak staramy się pokazać, że krajoznawstwo – oczyszczone z patyny, rozumiane na wskroś nowocześnie jako ciekawość własnego kraju w jego całej złożoności – może być doskonałym uzupełnieniem edukacji historycznej, kulturowej i przyrodniczej. I że tych trzech wartości nie należy od siebie oddzielać, jeśli chce się żyć świadomie, traktując historię nie tylko jako naukę, jak było, ale również jako wskazówkę do działań nastawionych na przyszłość. ●

Dlaczego krajoznawstwo?

JAROSŁAW ZIÓŁKOWSKI

Podobno „świat jest na wyciągnięcie ręki”, „jest coraz bliżej” i „stoi przed nami otworem”. Według danych Ministerstwa Sportu w pierwszej połowie roku 2019 mieszkańcy Polski odbyli niemal sześć milionów turystycznych podróży zagranicznych. Patointeligencja lata na językowe kamyki, reszta najchętniej do Grecji, Turcji, Bułgarii i Egiptu. Branża turystyczna cieszy się, że zimą 2020 rozkwitnie kierunek „egzotyka”. Coraz więcej polskich wczasowiczów wybierze odległe kierunki – Tajlandię, Emiraty i Malediwy.

Tymczasem my uparcie namawiamy do jeżdżenia po Polsce. Machnijcie ręką na „destynacje” odległe, pojedźcie do puszczy, na Żuławy, do Byczyny. Poniżej przedstawiamy argumenty na rzecz krajoznawstwa. Cztery wymuszone i sztuczne oraz jeden zupełnie poważny i ostatecznie rozstrzygający.

*

Krajoznawstwo oferuje atrakcyjną i jeszcze nie zgraną tożsamość. Jeśli jeździecie za granicę po to, żeby poczuć się podróżnikami, mamy złe informacje. Już tylko Jacek Hugo-Bader i Andrzej Stasiuk wierzą, że nimi są. Reszta z nas wie, że „podróżnik”, „backpackers”, „wędrowiec”, „globtroter”, „nomada” i co jeszcze chcecie – wszystkie te słowa to synonim starego dobrego „turysty”. Od turystyki towarowej nie ma ucieczki nawet przez blogi o tanim podróżowaniu. Kto rusza w świat z „Odkrywaniem świata” Nicolasa Bouviera albo książkami innych romantyków podróżowania, skazany jest na bolesne lądowanie. Tam, gdzie – jak sądzi – jego idole poznawali autentyczną kulturę, prawdziwych ludzi, nawiązywali

szczerze relacje, gościli w domach nieoczekujących niczego w zamian mieszkańców dalekich krain, na niego czeka hostel z możliwością płatności kartą, zorganizowane wycieczki dla hipsterów z Europy i setki podobnych mu „podróżników” z profilem na Insta, wideoblogiem i wciąż niezrealizowaną ambicją na jakikolwiek kontrakt reklamowy.

Tymczasem kulturoznawcy, socjologowie, publicyści i amatorzy-entuzjaści, którzy z taką pasją rozprawili się z mitem podróżnika, nie zdążyli jeszcze zdekonstruować słowa „krajoznawca”. Krajoznawcom nadal nie zerwano ich pawich piórek, nie zrzucano z postumentu i oficjalnie nie wysmarowano błotem komercji. Stąd „krajoznawstwo” może więc być atrakcyjną alternatywą dla „podróżowania”, szansą na nabijanie punktów hipsterki i alternatywności. Jeszcze przynajmniej przez kilka lat, póki polskie drogi nie zarują się od samozwańczych epigonów Oskara Kolberga, pociągi nie spuchną od mikrowypraw, a ilość publikowanych Polsce półprzewodników nie przekroczy liczby ziaren piasku na nadbałtyckich plażach i gwiazd nad połoninami. Wtedy bezwarunkowo krajoznawstwo się skończy, a właściwie zmieni w ordynarną turystykę i nic już nigdy nie będzie takie, jakie byśmy chcieli, by było.

*

Słyszymy głosy, że tożsamość nikogo tu nie interesuje, chodzi przecież o wypoczynek. I dla tych mamy dobre wiadomości. Krajoznawstwo jest tańsze niż inne formy wypoczynku zorganizowanego lub niezorganizowanego. Przeciętny koszt wycieczki zagranicznej na jedną osobę w 2018 roku wynosił niemal dwa tysiące dwieście złotych. By w roku 2019 spędzić tydzień nad Bałtykiem, czteroosobowa rodzina musiała przygotować średnio dwa i pół tysiąca. Tymczasem koszt wyjazdów, które znajdują Państwo w rubryczce „krajoznawstwo”, zaczyna się już od ceny czterech bułek, masła, sera, prądu albo gazu do zagotowania wody na herbatę. To znacząca oszczędność w budżetach domowych. Że wycieczka z Warszawy do Kampinosu to nie to samo co *all inclusive* na Malediwach? I całe szczęście.

Jeśli, Drodzy Czytelnicy, kręcicie nosem na argumenty ekonomiczne, bo lubicie hierarchie społeczne, my nie będziemy przekonywać, że to źle. Sposób spędzania wakacji to wciąż bardzo ważny sposób określania statusu. Jeśli jest on istotnym czynnikiem wyboru formy wypoczynku, nie należy się zaniedbywać i pozwalać sobie na dziadostwo krajoznawstwa.

Jeśli jednak podzielacie nasze egalitarne tęsknoty, krajoznawstwo, dostępne dla każdego, jest stworzone dla Was.

*

Magazyny podróżnicze wabią czytelników obrazem miejsc, kultur i grup etnicznych, które bezpowrotnie odchodzą w przeszłość, wyrównuje je rozpędzony walec globalizacji. Dziennikarze i copywriterzy mają nas, że musimy jechać czym prędzej, bo to ostania szansa. Bo „etnograficzny tygiel etiopskiej doliny [Omo] wygasa. Na odnalezienie jego żaru, a nie tylko cepeliowskiej wioski, pozostało niewiele czasu”. Podobnie komunizm na Kubie – już za parę lat przestanie istnieć, więc trzeba lecieć zaraz, drugiej szansy nie będzie. „Autentyczne” i „egzotyczne” spotykają się obok siebie, te dwa przymiotniki gwarantują nam niepowtarzalną podróż i niezapomniane wrażenia.

Zła informacja jest taka, że szanse na ten przechwalony autentyzm są znikome. Z dużym prawdopodobieństwem wszystkie wspaniałe egzotyczności, których oczekujemy, będą produktem turystycznym (a żeby oszczędzić Czytelników, zostawiamy na boku kulturoznawcze enuncjacje na temat słów „egzotyka” i „autentyczność”). Albo skutecznie oszukamy samych siebie, albo spotka nas głębokie rozczarowanie.

Dobra informacja jest taka, że krajoznawstwo żadnych takich obietnic nie składa. Na wycieczce pod miasto, do sąsiedniego powiatu, a nawet do puszczy będzie trochę tak, jak na co dzień. Te same sklepy, przystanki, podobni ludzie. I nic nie szkodzi. Tak właśnie ma być. Zamiast zatrzymanych w czasie Masajów w czerwonych tunikach, podskakujących w miejscu z dzidami i tarczami (i tej niedającej spokoju wątpliwości – prawdziwi czy przebrani), Polska AD 2019.

*

Jeśli wciąż kręcicie nosem i chcecie, by Was dalej przekonywać, macie rację. Wszystko to na siłę. Prawda jest przecież banalna. Skończyliśmy już trzydzieści lat i trochę nam się już nie chce dalej, trudniej, bardziej ekstremalnie. Po drodze zaczęła się praca, już na poważnie, więc o półrocznej wędrówce z plecakiem przez Azję nie może być mowy. A co najmniej do czasu, kiedy kryzys każe się zwolnić w nagłym porywie serca. Ale jeśli to właśnie Wasz przypadek, to spójrzmy prawdzie w oczy – skoro

właśnie przewróciliście swoje życie do góry nogami, to nie czytacie teraz krajoznawczych artykułików.

Bo przecież krajoznawstwo to przede wszystkim bezpieczna opcja dla trochę już wygodnych ludzi w średnim wieku. A jeśli na domiar wszystkiego pojawiły się już dzieci, to jest to też całkowita granica Waszych horyzontów. Kto będzie się skazywał na męczarnie lotu przez pół świata z nadpobudliwym dwulatkiem na pokładzie, skoro alternatywą są pierogi w Urłach, krótki spacer przez bagno Całowanie, rowerowa przejażdżka między Ścinawką Średnią i Dolną z możliwością szybkiego odwrotu do pociągu. Logistyczny koszmar dalekiego wyjazdu daje małą szansę dużej wygranej. Krajoznawstwo to pewność akceptowalnego, choć nie powalającego wyniku.

A jeśli jeszcze nie skończyliście trzydziestu lat, uwierzcie nam na słowo – stanie się to już niebawem. Czas leci szybciej, niż się wydaje.

*

Zostawimy tu jeszcze jedną propozycję argumentu. Dalekie wyjazdy, a loty samolotem w szczególności, to ślad węglowy jak stąd do katastrofy klimatycznej. Lepiej zostać w domu. A jeśli już – pojechać pociągiem, rowerem. Pójść na piechotę. Gwarantujemy niezapomniane wrażenia, wakacje marzeń, wakacje życia. Bez wiz, bez śladu węglowego, niepotrzebnego zawracania głowy. Bez nikomu niepotrzebnych wyrzutów sumienia, że nasz – przecież zasłużony! – wypoczynek odbywa się kosztem planety.

Tylko krajoznawstwo ma przyszłość. ●

Szczęśliwe mikropodróżowanie

SZCZEPAN ŻUREK

„Mikro” – to słowo, które kilka lat temu stało się dla nas kluczem do szczęśliwego podróżowania. Trochę zmęczeni młodzieńczą fascynacją ciągłego przemieszczania się, pogonią za nabijaniem kilometrów, godzinami spędzonymi na odległych dworcach autobusowych i stacjach kolejowych, byleby dalej, egzotyczniej, tam, gdzie jeszcze nikogo nie było. By zrobić zdjęcie, odhaczyć kolejny wodospad, spędzić noc do podobnych nam samotnych backpackersów w tanim hostelu. Trochę zmuszeni do dorosłego życia, z pracą, kredytem i kilkoma tygodniami urlopu jako namiastki tych prawdziwych wakacji albo pchający wózki z pociechami lub wciśnięci na co dzień w sztywne ramy korporacji – zaczęliśmy szukać alternatywy dla odległych podróży i egzotycznych przygód na własnym podwórku. Prozaiczny brak czasu i nadmiar obowiązków stały się swoistym katalizatorem odkrywania na pozór znajomej i niezbyt atrakcyjnej okolicy.

Początki były trudne. Bo jak tu zrezygnować z włóczęgi po bezdrożach Mongolii na rzecz dwudniowego wypadu na Lubelszczyznę albo spędzić weekend w Beskidach zamiast miesięcznej podróży po Iranie. Jednak krok po kroku nauczyliśmy się powoli, jak czerpać przyjemność z tych mikropodróży na niewielkie dystanse. Czasem tygodniowych albo weekendowych wypadów w Polskę, czasem jednodniowych wyjazdów za miasto albo nawet popołudniowych spacerów po lesie. Jak podróżować blisko, a jednocześnie ciekawie.

Z pomocą przyszedł nam Alastair Humphreys, brytyjski podróżnik i wagabunda, autor książki „Year of Microadventure”. Humphreys opisał koncepcję mikrowypraw jako prostej, taniej, a zarazem ciekawej

alternatywy dla egzotycznych podróży na koniec świata. Wycieczki w rejony nieodległe, w których nigdy nie byliśmy, odkrywanie ciekawych miejsc we własnym mieście, gminie czy powiecie, a dodatkowo traktowanie tych wycieczek jak egzotyczne wyprawy, to było to, czego podskórnie szukaliśmy. Kluczem był przedrostek mikro- – coś tak małego, drobnego, że staje się dostępne dla każdego. Takie też stały się nasze mikrowyprawy – dostępne dla każdego, bez względu na ograniczenia czasowe, kondycyjne, wiek czy zasobność portfela.

Początkowo traktowaliśmy mikro- jako żart, erzac prawdziwych przygód i podróży, terapię zastępczą dla uzależnionych od podróżowania. Zaczęliśmy więc realizować nasze wycieczki, dodając do nich przedrostek mikro-. Kieszonkowe przygody dla małych i dużych, wielkie mikroodkrycia i mikroekspedycje, nieodległe mikroodysseye i historyczne mikrorekonstrukcje. Udawaliśmy wielkich podróżników w ekspedycji do Pułtuska, odkrywców Gór Skierdowskich czy zdobywców Górki Szczęśliwickiej. Jeździliśmy po mazowieckich łąkach i podlaskich lasach, nad rzeki i jeziora, szukając przygód i ciekawostek wszędzie tam, gdzie pozornie ich nie było. Przygodą stawała się sama mikrokonwencja wielkiej podróży, przemieszczania się w nieznaną, odkrywania mikroświatów za miedzą i przeżywania mikroprzygód na mikroskalę.

Niepostrzeżenie zaczęliśmy wyznawać filozofię mikro-. Mikro- było tym, czym dla Duńczyków *hygge*, *lågom* dla Szwedów czy dla Finów *sisu* – stanem szczęśliwości i zadowolenia. Z *hygge* podkradaliśmy poczucie bezpieczeństwa, szczęścia i wewnętrznej równowagi, z *lågom* – życie w zgodzie z naturą i docenianie tego, co się ma, a z *sisu* – siłę woli i determinację w dążeniu do określonego celu.

Mikro- stało się dla nas naszą mikrofilozofią szczęścia. Trochę niepostrzeżenie odkryliśmy to, co gdzieś w nas kiedyś siedziało, ale z czasem może nieco zaśniedziało, a może trochę o tym zapomnieliśmy. Dzięki naszym mikrowyprawom i mikroekspedycjom nauczyliśmy się znów ciekawić się i zachwycać światem. Nie tym dalekim, wielkim i egzotycznym, ale tym codziennym: miejskim, leśnym, łąkowym i powiatowym. Tym na spacerze w miejskim parku i na wycieczce do Konina, na dworcu w Skierniewicach i w lesie pod Tłuszczem. Bo teraz dzięki mikro- każde wyjście z domu stało się początkiem wielkiej mikroprzygody.

Krótki poradnik, jak się dobrze spotykać w drodze

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA

Jedziesz przez Polskę. Podziwiasz krajobraz z perspektywy okien pociągu lub auta, a może z wysokości rowerowego siodełka. Docierasz do celu. Chodzisz po bagnach, połoninach, lasach, wydmach lub ugorach. Przez lornetkę oglądasz ptaki, rozpoznajesz tropy zwierząt, może wyciągasz z kieszeni atlas lub przewodnik, aby sprawdzić, jak nazywa się kolorowy porost lub widoczny w oddali szczyt. Na odwrocie mapy turystycznej natrafiasz na krótką wzmiankę o „zabytkach”, a może nawet o „historii społecznej” regionu, parku krajobrazowego, pojezierza lub pogranicza, po którym odbywasz krajoznawczą wycieczkę. Zrozumiałe, bo po krótkim namyśle przyznasz pewnie, że prawie wszędzie, gdzie pojedziesz, aby zbierać grzyby, oglądać pomniki przyrody lub czatować o świcie na żubra – tam znajdziesz też wioski, a w nich mieszkańców, których dotyczy przymiotnik „społeczna”. Co prawda, możesz wsiąść do swojego auta i prosto z leśnego parkingu wrócić do miasta. Możesz – jadąc rowerem – tylko wypić oranżadę w lokalnym sklepie, powiedzieć „dziękuję”, oddając butelkę, i pojechać dalej ku rozlewiskom. Możesz z nikim nie rozmawiać. Ale ten tekst ma na celu zachęcenie Cię, aby zrobić inaczej. Ale jak?

Dzięcioł zielony, odległy szczyt, płonnik pospolity, bagno i żubr mają to do siebie, że można je oglądać, a nawet się w nie wgąbiać bez cienia poczucia, że jest w tym coś niewłaściwego. Z ludźmi sprawa jest bardziej złożona. Nieraz można usłyszeć formułowane wobec turystów i turystek / podróżników i podróżniczek zarzuty mieszkańców odwiedzanych wsi, że (to cytata) „oglądają nas jak mały w zoo”. Z obawy przed taką sytuacją można leżące po drodze wioski ominąć. Ten tekst wynika jednak

z przekonania, że nie jest to jedyne rozwiązanie, szczególnie w obecnych czasach, gdy jednym z głównych społecznych wyzwań są negatywne przekonania i podziały, które tak łatwo bywają rozpinane na osi miasto–wieś, a które – jak to często bywa – wynikają między innymi z tego, że mamy niewiele sposobności, aby ze sobą rozmawiać.

Co więc zrobić, aby krajoznawczą wyprawę uczynić okazją do spotkania?

Punkt pierwszy: spotykaj, zamiast oglądać

Aby nie czuć się niekomfortowo, „oglądając” mieszkańców odwiedzanej wsi, wystarczy tego nie robić. Zamień obserwację na intencję spotkania. Rzecz jasna, ono może się zacząć od wymiany spojrzeń i podobnie jak w (niemal) każdej innej sytuacji międzyludzkiej raczej nie ma w tym niczego niestosownego. Sęk w tym, aby nie odwracać wzroku, nie udawać, że się nie widzi, a już na pewno nie chować się za aparatem z długim obiektywem, udając, że właśnie fotografuje się bociana w gnieździe. Co więc zrobić, gdy już z kimś skrzyżujemy wzrok? Otóż należy powiedzieć „dzień dobry”. Na wsi, inaczej niż w przeciętnym dużym mieście, wypada pozdrowić nieznaną osobę, bez względu na to, czy mamy chęć dalej z nią rozmawiać czy nie. Z czego to wynika? Patrz: punkt drugi.

Punkt drugi: jesteś gościem

We wsi bycie gościem zaczyna się wcale nie za progiem domu, ale już na wiejskiej drodze, pod sklepem i na przystanku. To, co miastowym może wydawać się przestrzenią publiczną – którą cechują niepisane zasady anonimowości, dystansu i odwracania wzroku – jest we wsi przestrzenią półprywatną, która należy do społeczności. W większości wsi naprawdę wszyscy się znają i mijająca Cię osoba od razu wie, że nie jesteś stąd, a nawet że raczej nie jesteś niczym krewnym. Jesteś więc gościem, i to przychodzącym bez zaproszenia – to sprawia, że wypada pozdrowić mijającą Cię osobę. Tym bardziej że to właśnie droga, przystanek, przydomowy ogródek, pole i ławka pod sklepem są najlepszymi miejscami, aby poszukać rozmówcy.

Pukanie do drzwi domu to bardziej złożona sprawa. Z jednej strony, w wielu wsiach jest to przyjęta praktyka – przy furtkach często nie ma dzwonek, trzeba wtedy wejść na podwórko (sprawdzając, czy nie biega po nim „zły pies”), a czasami nawet do sieni, aby zapukać we właściwe

drzwi. Ba, gdziekolwiek przyjęte jest, aby wchodzić do domu bez pukania, choć zwyczaj ten dotyczy raczej sąsiadów i osób znajomych. Z drugiej strony, pukając do cudzych drzwi, warto pamiętać, jak Ty się czujesz, gdy ktoś nieznajomy puka do Twoich. Po pukaniu cofnij się o krok, aby osoba za progiem nie poczuła się zaatakowana Twoją obecnością, aby mogła Cię obejrzeć i wysłuchać w poczuciu bezpiecznego dystansu. Być może Wasza rozmowa zacznie się i skończy w uchylonych drzwiach. Może jednak usiądziecie na ganku. A może otrzymasz zaproszenie, aby wejść do środka. Wtedy: patrz punkt szósty.

Punkt trzeci: nic na siłę

Warto pamiętać, że nawet jeśli Ty masz chęć do rozmowy, to nic z tego nie wyjdzie, jeśli druga strona nie będzie jej podzielać. Skoro jesteś niezapowiedzianym gościem, a chcesz skorzystać z czasu i uprzejmości napotkanej osoby, to po „dzień dobry” wypada się przedstawić, wyjaśnić, kim się jest i co się tu robi, a następnie zapytać, czy ten drugi zgodzi się porozmawiać. Jeśli tak – wspaniale, możesz przejść do punktu czwartego. Jeśli nie – uszanuj to. Nie naciskaj, nie przekonuj, nie wywieraj presji. Przypomnij sobie, jak to jest, gdy Ciebie ktoś próbuje zagadać na ulicy albo – co bardziej w tej sytuacji adekwatne – na klatce schodowej Twojego domu. Jeśli więc ktoś rozmawiać nie chce, zrozum, podziękuj i odpuść.

Pamiętaj również, że zasada dobrowolności spotkania dotyczy także Ciebie. Nawet jeśli to Ty inicjujesz, ale po chwili coś Ci nie odpowiada – podziękuj i się pożegnaj.

Punkt czwarty: co Cię właściwie interesuje?

Przedstawiając się, powiedz, kim jesteś, i zrób to raczej szczerze. Możesz od razu nawiązać do tematu, który Cię interesuje, sprawy, o której chcesz porozmawiać. Jeśli w planach masz napisanie artykułu, książki, zrobienie badań lub pisanie krajoznawczego przewodnika – dobrze na wstępie o tym powiedzieć. Jeśli jednak jesteś, ot, krajoznawcą lub krajoznawczynią, to z kolei nie ma sensu pozować na etnografa lub antropolożkę.

O co więc pytać kogoś, kto wyraził chęć rozmowy? Najprościej o to, co Cię szczerze interesuje, a zarazem jest pytaniem szerokim i potencjalnie niekonfliktowym (takie zostaw zdecydowanie na później). Ja lubię pytanie: „Jak się tutaj mieszka?”. Albo: „Skąd pani/pan jest?” (jeśli przemierzasz tereny objęte powojennymi migracjami). Albo – jeśli osoba, z którą

rozmawiasz, jest starsza: „Jak się kiedyś tutaj żyło?”. Po takim pytaniu można pozwolić rozmowie toczyć się własnym tempem, pamiętając o punkcie piątym.

Punkt piąty: bez pośpiechu i z wzajemnością

Osoby mieszkające we wsiach mają często przekonanie o osobach mieszkających w miastach, że ciągle się spieszą. Coś w tym jest. Zaczynając rozmowę, odpuść oczekiwania i pośpiech. Nie zaczynaj, jeśli nie masz czasu. Zanim rozmowa się rozwinie, mogą Was czekać chwile wspólnego milczenia, uwagi dotyczące pogody, a może Twoja opowieść o sobie. Rozmowa podczas spotkania to nie wywiad. Co prawda, możesz zacząć od pytania, ale możesz je też usłyszeć i na zasadzie wzajemności dobrze jest na nie odpowiedzieć. Doświadczenie mówi, że im więcej masz otwartości i szacunku, tym większa szansa, że otrzymasz je w zamian.

Punkt szósty: gość w dom

A co jeśli Wasze spotkanie tak się potoczy, że otrzymasz zaproszenie, aby wejść na herbatę? Z wchodzeniem do większości domów jest podobnie: pozostajesz sobą, a jednocześnie masz za zadanie uszanować panujące w środku zwyczaje, które mogą być różne od Twoich. Co mam na myśli?

Jeśli idziesz przodem, a widzisz, że w sieni/ganku/przedpokoju stoją buty – zdejmij swoje.

Jeśli wchodzisz do domu samotnie mieszkającej 80-letniej osoby, która oferuje Ci kawę, a Ty odżywasz się wegańsko, to nie pytaj, czy ma sojowe mleko. Podobnie jeśli uznajesz tylko przelew albo dripa, więc wybór między sypaną a neską jest dla Ciebie nie do przeskoczenia, to od razu poproś o herbatę. Z drugiej strony, jeśli nie jesz mięsa albo cukru, nie miej obawy, aby go odmówić. Dobrze i miło jest przyjąć poczęstunek, ale może być to też szklanka wody.

Jeśli skorzystasz z toalety, to wychodząc z niej, nie komentuj z niedowierzaniem, jeśli okaże się, że jest w niej prysznic z hydromasażem, podobnie jak komentarza nie musi potrzebować toaleta znajdująca się na podwórzu. Miejsce, dokąd Cię zaproszono, jest dla osoby, z którą się spotykasz, codziennością, więc tylko Ty i Twoje zdziwienia mogą uczynić je egzotycznym. Zofia Rydet mówiła, że wchodząc do wiejskiego domu, dobrze jest coś komplementować – że piękne obrazy na ścianach, że piec, że ciepło i przytulnie. To pewnie właściwa reakcja, o ile jest autentyczna.

Przestrzeń domu ma dać schronienie i okazję do kontynuowania rozmowy, która wcale nie musi schodzić na temat domowego zacisza. Tym bardziej jeśli jest ono nad wyraz skromne lub nad wyraz wystawne i jeśli zgodzisz się, że zasadny jest punkt siódmy.

Punkt siódmy: obserwuj swoje przekonania

Spotkanie osoby przyjeżdżającej z miasta w celach krajoznawczych z osobą mieszkającą na wsi może cechować napięcie nie tylko na linii wzajemnych przekonań miasto–wieś. Może Was różnić też wiek, poglądy, wykształcenie, wiara, sytuacja zawodowa, sytuacja ekonomiczna i fakt, że Ty masz akurat czas wolny, a gospodyni/gospodarz niekoniecznie. Każda z tych różnic potrzebuje szacunku. Nie spotykaj się z nieznaną osobą, żeby ją oceniać ani żeby ją zmieniać, ani żeby na doświadczeniu jej inności budować własne poczucie lepszności. Wychodzisz poza własną „bańkę” i skorzystaj z tego najlepiej, jak to możliwe – spotkanie z kimś różnym od Ciebie może poszerzyć Twoje doświadczenie, wiedzę, punkt widzenia, sposób myślenia. Pozwól tej sytuacji, aby Cię czegoś nauczyła, nawet jeśli to oznacza utarcie nosa. Spróbuj obserwować siebie trochę z boku. Przy odrobinie uwagi złapiesz się może na zdziwieniu, które ujawni tkwiący w Twojej głowie stereotyp. Może zauważysz, jak zmienia kształt Twoje wyobrażenie o wsi. Może nawet poczujesz się trochę głupio, że tak niedołąła rzeczywistość jest Ci słabo znana. A może wychodząc z domu nowo poznanej osoby, inaczej spojrzysz na krajobraz, który początkowo był celem Twojej wyprawy. Pozostaje Ci wtedy już tylko punkt ósmy.

Punkt ósmy: wdzięczność za wymianę

Udane spotkanie to takie, po którym obie osoby wychodzą z czymś. Nie tylko Ty poznajesz kogoś w sytuacji krótkiej rozmowy – ten ktoś poznaje też Ciebie. Podobnie jak Ty możesz pozyskać informacje, doświadczyć spotkania i zmienić coś w swoim myśleniu, tak może się to przydarzyć również temu drugiemu. Dobrze jest podziękować za spotkanie. Im więcej takich sytuacji, tym większa szansa, że pozostając różnymi ludźmi, których dzieli wiele rozmaitych spraw, będziemy się choć trochę lepiej rozumieć i bardziej szanować.

Czyj jest krajobraz?

JERZY PARFIANOWICZ

Podsumowania

Emocje wywołane zakończeniem drugiej wojny światowej były ambiwalentne. Z jednej strony ogromna radość, z drugiej – ciągle trwająca żałoba. Nadzieja na przyszłość, ale też lęk, co ta przyniesie. Nowe plany przeplatały się z powojennymi bilansami i podsumowaniami. Dotyczyło to nie tylko poszczególnych ludzi, ale także organizacji i instytucji, które na czas okupacji swoją działalność uśpiły, zawiesiły czy utajniły. Już w 1945 roku pracę wznowiły towarzystwa krajoznawcze: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie (PTT) oraz Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (PTK), jeszcze w starej formule, jeszcze przed wymuszonym połączeniem obu w Polskie Towarzystwo Turystyki Krajoznawczej.

Wysokogórskiemu PTT na pewien czas udało się przywrócić oficjalny druk „Taternika”. W pierwszym powojennym numerze (1947) pojawiła się rubryka „Straty taternictwa polskiego w latach 1939–1947”. Specyficzna lista ofiar wojny i gór, choć nie tylko. Oprócz tego smutnego bilansu znalazła się tam również pocieszająca konstatacja Witolda H. Paryskiego, że czas wojny nie był doszczętnie stracony dla taternictwa. W Tatrach bowiem, poprowadzono pięćdziesiąt nowych dróg. „Niektóre na bardzo wysokim poziomie” – czytamy. Z kolei Antoni Wrzosek opisał potencjał licznych skał dopiero co przyłączonych do Polski ziem Dolnego Śląska.

PTK jeden z powojennych bilansów opublikował w 1946 roku w krajoznawczym miesięczniku „Ziemia”. Obok relacji ze spacerów po Sudetach zamieszczono tekst o fotografice krajoznawczej w Polsce, a w nim zestawienie ukazujące nie tylko wojenne straty, ale i ocalenia.

W jednym szeregu ludzie i przedmioty. Jest to wykaz najbardziej zasłużonych dla krajoznawstwa szesnaściorga fotografów, a także przedstawienie losów zbiorów, nad którymi pieczę sprawowała Komisja Fotograficzna PTK. „Zginął”, „nie wiadomo, czy żyje”, „zbiór negatywów ocalał”, „los zbioru niewiadomy”...

Listę zamyka notatka poświęcona nestorowi polskiej fotografii, nie tylko krajoobrazowej, a także autorowi tekstu – Janowi Bułhakowi. Jego zbiór dziesięciu tysięcy zdjęć z całej Polski został zniszczony. Dla Bułhaka była to jedna z wielu dotkliwych strat. Zaraz po zakończeniu konfliktu zmuszony został do opuszczenia centrum swojego świata – Wilna.

Zachować pejzaż

Spisane wówczas straty fotograficzne stanowiły tylko wycinek, obejmowały dorobek jedynie kilkunastu twórców i międzywojenny okres ich działalności. Samo archiwum zdjęć było znacznie większe. Już dwa lata po powstaniu, w 1908 komisję fotograficzną, dostrzegając duży potencjał w tym ciągle młodym narzędziu do utrwalania rzeczywistości. Fotografia miała służyć więc popularyzacji krajoznawstwa, ale okazała się również idealnym środkiem dokumentacji. Celem PTK było tworzenie archiwów, które co warto podkreślić, skupiało nie tylko profesjonalistów, ale i fotoamatorów. Tym drugim PTK oferował także możliwości bliższego zapoznania się ze sztuką fotograficzną i udoskonalania warsztatu chociażby podczas specjalnych wyjazdów plenerowych. Archiwum szybko rostało i już 1913 roku mogło pochwalić się zbiorami liczącymi kilka tysięcy negatywów i kolejnymi kilkoma tysiącami odbitek z całej Polski.

Równolegle starano się znaleźć odpowiedź na pytanie, czym w zasadzie jest fotografia krajoznawcza. Z tym problemem przez długie lata mierzył się właśnie Jan Bułhak. Jednym z jego pierwszych manifestów był tekst „Krajobraz i fotografia” opublikowany w 1912 roku w „Ziemi”, w wydaniu specjalnym z okazji pierwszej poważnej, wręcz formacyjnej wystawy fotograficznej PTK „Krajobraz Polski”. To też głos w długim sporze o miejsce fotografii w świecie artystycznym oraz o obiektywności obrazów zapisanych na materiale światłoczułym. Bułhak nie miał wątpliwości, że choć z wyjątkami, fotografię można podnieść do rangi sztuki.

Dobra fotografia pejzażowa jest czymś więcej niż obrazem przyrody i dokumentacją dziedzictwa materialnego. Ukazuje bowiem ukrytą duszę krajobrazu. Co więcej, nie wystarczy bycie artystą. Tę głębię odkryć

może ktoś, kto ten krajobraz kocha, kto się w nim wychował, dla kogo ten obszar jest ojczyzną. Nie uchwyci tego przybysz z zewnątrz. Bułhak podkreślał przy tym, że ta szczególna forma miłości do ojczyzny wyzbyta jest szowinizmów. Taki kunszt dostrzegał wśród zachodnioeuropejskich fotografów. Inspirowali go między innymi bracia Theodor i Oscar Hofmeister czy Hans Watzek utrwalający pejzaże własnej ojczyzny za pomocą landszaftów czy brytyjski pejzażysta Alfred Horsley Hinton.

Te myśli z latami ewoluowały, zmieniała się również sytuacja geopolityczna Polski. Pod koniec lat 30. XX wieku w środowisku polskich fotografików, przy dużym udziale Bułhaka, formułował się program „fotografii ojczystej”. Duży wpływ na jego kształt miały założenia niemieckiej Heimatphotographie, kierunku znanego już od początku wieku, z troską dokumentującego lokalną przyrodę, łączącego załączki koncepcji ekologicznej i regionalny patriotyzm. Styl ten stał się popularny w całej Europie. W swoich podstawach był zbliżony do idei szerzonych od początku również przez polskich krajoznawców. Jego echa pobrzmiewają w pierwszych tekstach Bułhaka. Jednak w tym czasie Heimatphotographie była już sformalizowaną częścią aparatu propagandowego III Rzeszy, wpływając bardzo na kształt „fotografii ojczystej”. Sztukę sprzężało się z instytucjami państwowymi, by jej głównym celem stało się kształtowanie i umacnianie narodowej duszy. Duszy aryjskiej, ale jak zauważył Bułhak, dzięki umiłowaniu przyrody pokrewnej duszy słowiańskiej. Wybuch wojny przerwał pracę nad sformalizowaniem polskiego ruchu fotograficznego. Tuż przed kataklizmem ukazała się jeszcze tylko praca Bułhaka „Polska Fotografia Ojczysta”.

Odzyskać krajobraz

Założenia i warsztat „fotografii ojczystej” okazały się jednak świetnie pasować w nowej powojennej rzeczywistości. Mimo że Bułhak wywodził się ze skrajnie odmiennych tradycji politycznych, dostrzegał szansę w tym, że aparat państwa wreszcie obejmie fotografię należytych patronatem. Niedługo po opuszczeniu utraconej Wileńszczyzny Bułhak wraz z grupą fotografów i krajoznawców zrzeszonych w PTK (między innymi Mieczysławem Orłowiczem) ruszył na tak zwane Ziemie Odzyskane. Z błogosławieństwem władzy artyści szykowali cykl fotograficzny mający na celu oswojenie Polaków z terenami, które dopiero co znalazły się w granicach państwa i które budziły niepokój i niepewność wśród

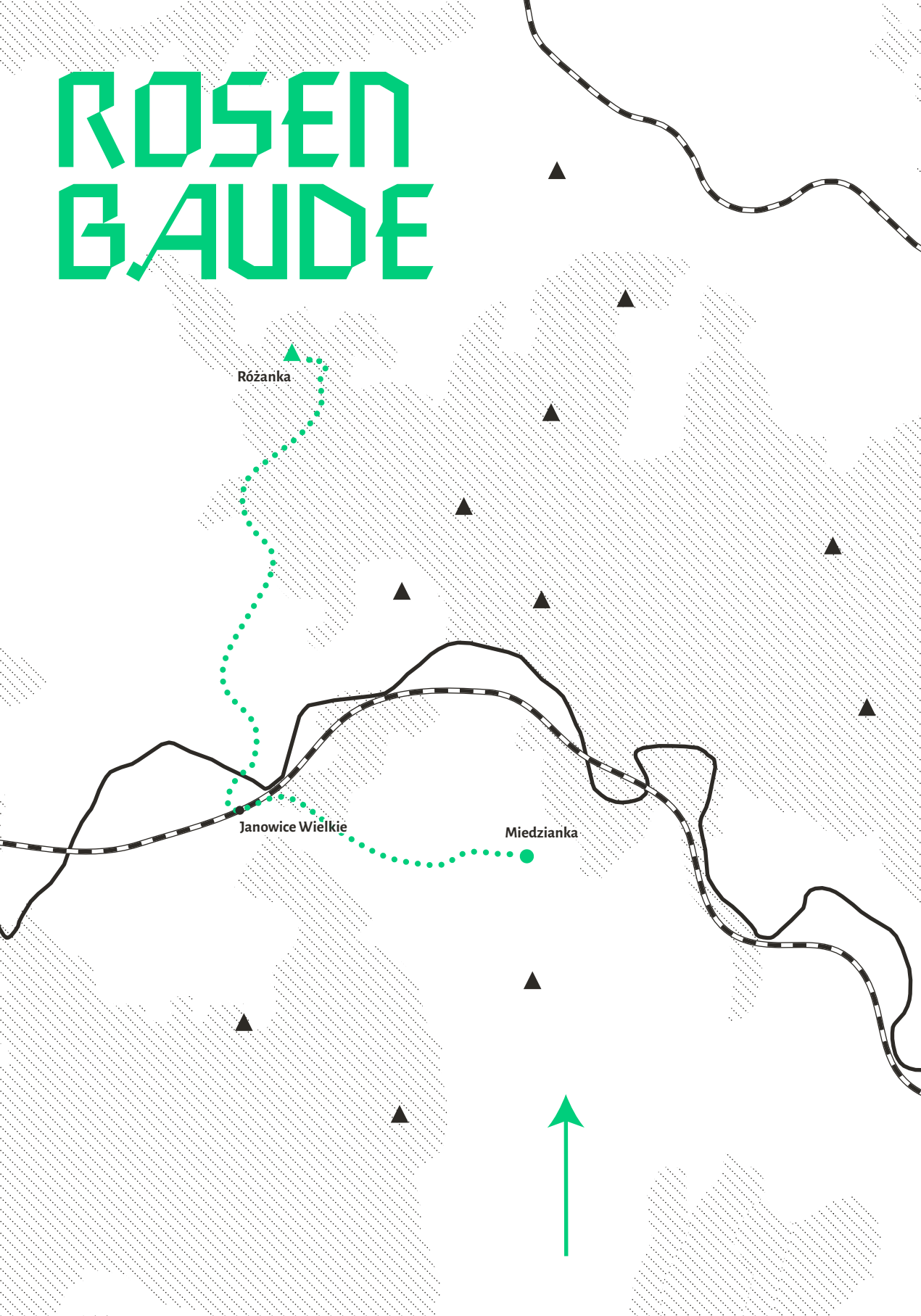
nowych osadników. Obszarami, które ciągle jeszcze nosiły piętno obcości i wrogości. Fotograficy starali się uchwycić nie tylko detale architektury średniowiecznej, które potwierdzały polskość tych ziem, ale także ten narodowy pierwiastek odwiecznie ukryty gdzieś w sielskim pejzażu.

Odzyskać krajobraz II

Fotograficy z grupy Bułhaka w takim oswajaniu terenów nie byli pierwsi. Cofnijmy się parę lat. W 1941 roku niemieckie wydawnictwo Buchverlag Ost w Krakowie (Generalna Gubernia) wydało krajoznawczy kalendarz ścienny „Piękno naszego kraju” (do obejrzenia na Polonie). W bardzo nowoczesnym składzie. Znajdziemy tam zdjęcia pejzaży i architektury (Tatry, meandry Narwi, pałac w Wilanowie itd.). Na pierwszy rzut oka wygląda to na klasyczną publikację: niebudzące zastrzeżeń, ponadczasowe widoki gór w różnych porach roku. Ale już kolejne ujęcia ukazują rozmazane sylwetki maszerujących żołnierzy niemieckich, np. na rynku w Jarosławiu. Zadbano też o odpowiednie podpisy – wawelskie wnętrza to teraz nowy gabinet Hansa Franka. Przez kolejne kadry przewijają się wątki osadnictwa niemieckiego na ziemiach polskich czy historii saskich dynastii. Gdyby nadal pojawiały się wątpliwości co do czasu wykonania fotografii, rozwieje je szyld „Deutche Post Osten” na jednym z prezentowanych gmachów. Nie wszystkie jednak zdjęcia zrobiono specjalnie na użytek niemieckiej propagandy. Co najmniej jedno z nich „Ruiny zamku w Sochaczewie” pochodzi z przedwojennych zbiorów Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. ●

Korzystałem między innymi z następujących źródeł: Maciej Szymanowicz, „W służbie idei. Uwagi o fotografii ojczystej, w Sztuki wizualne jako nośniki ideologii”, red. Marcin Lisiecki, Toruń 2009; Adam Czarnowski, Wanda Skowron „Historia fotografii krajoznawczej PTK–PTTK”, Łódź 2000.

ROSEN GAUDE



Różanka

Janowice Wielkie

Miedzianka

Góry wcale nie tak olbrzymie

FRANCISZEK BOJAŃCZYK

W 1908 roku Mieczysław Orłowicz, jeden z pionierów krajoznawstwa w Polsce i autor przewodników, wybrał się w Karkonosze z grupą lwowskiego Akademickiego Klubu Turystycznego (AKT). Po latach pisał we wspomnieniach: „Myliłby się ten, kto idąc w Karkonosze spodziewał się, że zazna tu spokoju. Bynajmniej. Były to góry najbardziej hałaśliwe, jakie widziałem w życiu. [...] Zanim doszło się do schroniska ukrytego przeważnie w lesie, dodawały ducha do dalszego marszu napisy w rodzaju: »jeszcze 10 minut do najbliższego pilznera« – jeśli działo się to po stronie austriackiej – i odwrotnie: »jeszcze 10 minut do najbliższego piwa bawarskiego«, o ile chodziło o stronę niemiecką”.

Orłowicz – i inni, jak to nazywał, „autentyczni turyści” z AKT – ledwo wytrzymał w tym tłumie „niemieckich filistrów”, otoczony „pijackim wrzaskiem”. Nestor polskiego krajoznawstwa nie mógł być jednak specjalnie zaskoczony. Gdy jego rodzinne Karpaty wciąż były dziewicze i wciąż odkrywane, w Karkonosze jeżdżono już od kilkuset lat. Olbrzymią, nomen omen (Riesengebirge, Góry Olbrzymie, to niemiecka nazwa Karkonoszy), popularność góry zawdzięczały przede wszystkim dogodnemu położeniu blisko Wrocławia, Drezna, ale i Berlina, które czyniło je jedynymi tak dostępnymi górami w Prusach. Swoją rolę odgrywały też śląskie uzdrowiska, jedno z najstarszych w Europie Środkowej, takie jak Cieplice pod Jelenią Górą, gdzie pierwszy dom zdrojowy stanął pod koniec XIII wieku, a później bywały tam między innymi Marysieńka czy Izabela Czartoryska.



fot. Tomek Kaczor



Na początku XIX wieku okolice Jeleniej Góry stały się popularne wśród pruskiej arystokracji, której przykład dała sama rodzina Hohenzollernów. Król Fryderyk Wilhelm III był właścicielem Mysłakowic (Erdmannsdorf), jego brat Karpników (Fischbach), a córka Luiza – Wojanowa (Schildau), wszystkie tworzyły jeden zespół parkowy. Budowa sieci kolejowej w połowie XIX wieku, łącząca region z metropoliami, spowodowała, że w Karkonosze zaczęli coraz częściej docierać także inni, nie tylko szlachetnie urodzeni turyści. Od 1866 roku do Jeleniej Góry można było dojechać pociągiem, a dzięki Schlesische Gebirgsbahn, Śląskiej Kolei Górskiej, której rozbudowa trwała aż do samej wielkiej wojny, także do Mysłakowic, Kowar, Karpacza czy Szklarskiej Poręby. Tego efekty obserwował Orłowicz, pisząc, że w niedziele i święta pociągi do tych dwóch ostatnich stacji podjeżdżają „prawie co kilka minut, a z każdego wysypuje się 500 lub 600 podróźnych”.

Popularność regionu wpłynęła też na Janowice Wielkie (Jannowitz), do których wcześniej trudno było dojechać, a teraz kursowało do nich w tygodniu sześć par pociągów z Wrocławia. Powstawały pensjonaty i sanatorium, których goście mogli wybrać się na przykład na szczyt zwany Ogrodem Różanym (Rosengarten) lub, już później, Różanką, reklamowany w broszurze miejscowości jako „najpiękniejszy widok w Karkonoszach”. Tak miał twierdzić sam Alexander von Humboldt, choć w innej wersji botanik miał uznać ten widok w ogóle za jeden z najpiękniejszych na ziemi, tuż za ekwadorskim szczytem Chimborazo. W Rosengarten pod koniec XIX wieku istniała chata czy też szałas, utrzymywany przez Riesengebirgsverein (RGV), Towarzystwo Karkonoskie.

RGV założył w sierpniu 1880 roku w celu wspierania krajoznawstwa Theodor Donat, z zawodu księgowy, jako odpowiednik powstałego kilka miesięcy wcześniej po czeskiej stronie Austriackiego Towarzystwa Karkonoskiego. Towarzystwo wytyczało i utrzymywało szlaki, współprowadziło Biuro Podróży dla Karkonoszy i Gór Izerskich, wydawało własną gazetę krajoznawczą „Der Wanderer im Riesengebirge”, a nawet doprowadziło do powstania w 1902 roku Szkoły Snycerskiej w Cieplicach, która miała uczyć tradycyjnego rzemiosła i tym samym dbać o wysokiej jakości pamiątki. Z reguły RGV nie budowało jednak schronisk i dlatego Rosenbaude, schronisko otwarte na Różance w 1906 roku, tuż obok szałasów Towarzystwa, prowadził już miejscowy przedsiębiorca. On też kilka lat wcześniej zbudował widoczną na pocztówkach wieżę widokową, ale

trzeba było ją rozebrać w 1923 roku ze względu na marny stan techniczny. Jedenaście lat później taki musiał być też stan samego schroniska, bo na licytacji kupił je nowy właściciel, rozbudował, wyposażył w centralne ogrzewanie, a potem nawet połączył z jeleniogóorską szosą w Kaczorowie, zapewniając dojazd samochodowy. Podobno nowa Różanka cieszyła się wielką popularnością, tak miało być i w trakcie wojny, pod koniec której umieszczono w niej żołnierzy rekonwalescentów.

W maju 1945 roku schronisko przejęła Armia Czerwona, a w końcu, splądrowane i opuszczone, spłonęło niecały rok później. Wtedy Riesengebirge były już Karkonoszami, z każdym dniem dawnych mieszkańców ubywało, a w ich miejsce pojawiali się nowi z centralnej Polski i Kresów. Ubywało też turystów, bo ze względu na bliskość granicy państwowej wędrówki po Sudetach stały się utrudnione. Nie można było robić zdjęć, a grupom prócz przewodnika towarzyszył wopista z karabinem. Wyśmiewało to „Słowo Polskie” z 1947 roku, pisząc: „Rygor oczywiście wojskowy. Godz. 10, dwuszereg, baczność, w lewo zwrot! W góry marsz! Powrót punktualnie przed 16. Ciekawe, co na takie zarządzenie powiedzą nasi cudzoziemscy goście i czy nie przejdą gremialnie do Czech, gdzie tysiące turystów spaceruje spokojnie samotnie i w grupach, jak się komu podoba, fotografując wszystkich i wszystko”.

Jeszcze gorzej było w okolicach wydobywania uranu, czyli na przykład Miedzianki (Kupferberg) tuż pod Janowicami, której mieszkańców wysiedlono, a całą okolicę ściśle kontrolowano. W końcu kopalnię zamknięto, a po odwilży października 1956 polscy turyści po Karkonoszach mogli wędrować bez większych ograniczeń. Znikły jednak tłumy pamiętane przez Orłowicza, znaki pokazujące odległość do najbliższego piwa bawarskiego, a góry zrobiły się nieco mniej hałaśliwe. A może wcale nie zniknęły, tylko przeniosły się kilkaset kilometrów na wschód, w okolice Kalatówek czy Morskiego Oka. ●

KAMP NOS

Nowiny

dąb Kobendzy

Cisowe

Górki

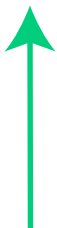
Zamość

Zamczysko

Grabina

Szymanówek

Leszno



Państwo Drzewoznawstwo

PIOTR KUBKOWSKI

Wiele uroku ma słowo „dendrologia”, które człon *dendron* („drzewo”) łączy z logosem („słowem” i „umysłem”). A jednak gdy myślimy o Romanie i Jadwidze Kobendzach, bohaterach tego artykułu, dalece stosowniejsze wydać nam się może określenie „drzewoznawcy”. Kobendzowie przyczynili się do rozwoju krajoznawstwa w międzywojniu oraz w pierwszych dekadach po drugiej wojnie. Są zarazem – a przynajmniej powinni być – ważnymi postaciami dla współczesnych projektów odnowy ruchu krajoznawczego: krajoznawstwa bliskich dystansów, odpowiedzialnych postaw i dużej świadomości ekologicznej.

Wąsko rozumiana dendrologia była w zasadzie specjalnością jedynie Romana Kobendzy; Jadwigę (*de domo* Kaczorowską) określa się mianem geografki i geomorfołożki. Prace badawcze i popularyzatorskie oraz działalność organizacyjną obojga łączyła jednak czułość wobec drzew i innych roślinnych mieszkańców planety, w szczególności „środka Polski”, najbliższych okolic Warszawy i samego tego miasta. W polu zainteresowań obojga leżała systematyka roślin, warunki życia, ich umiejętność przetrwania katastrof naturalnych i cywilizacyjnych, zdolność migrowania i osiedlania się w niesprzyjających okolicznościach. Jadwiga Kobendza pisała głównie o tym, w co zagłębiają się korzenie roślin, Roman – o tym, co obserwujemy nad powierzchnią gruntu.

Oboje widzieli skupiska roślin jako skomplikowaną, harmonijną społeczność, swoistą cywilizację funkcjonującą w holistycznie pojmowanym kosmosie, w którym człowiek jest tylko jednym z aktorów, niewiele więcej znaczącym niż ciek wodny, porost, żuk czy

wiatr północny. W publikacjach Romana Kobendzy wyznaczyć można nawet dokładny moment, kiedy od myślenia o organizmach roślinnych jako wypreparowanych, abstrakcyjnych jednostkach, domagających się systematycznego opisu (do pierwszej wojny światowej) przeszedł do próby zrozumienia ich stosunków z organizmami sąsiadującymi w danych okolicznościach. Jego pierwsze artykuły (z lat 1911–1915) to głównie spisy roślin na danym terytorium, składające się z prezentacji osobnych gatunków. Po wielkiej wojnie w pracy naukowej zajmie się fitosocjologią, jedną z młodych dyscyplin przyrodznawstwa, której tematem są właśnie relacje społeczne – akty komunikacji, współpracy, konkurencji i innych jeszcze sposobów nawiązywania stosunków między poszczególnymi organizmami roślinnymi należącymi do różnych gatunków. Drzewoznawstwo Kobendzy to zatem poniekąd drzewne kulturoznawstwo.

Roman Kobendza urodził się w 1886 roku w Niechcicach, w ówczesnej guberni piotrkowskiej, w rodzinie chłopsko-rzemieślniczej. Po rewolucji 1905 roku trafia do Warszawy, tu z opóźnieniem zdaje egzamin dojrzałości. Zostaje nauczycielem, początkowo w warszawskich szkołach powszechnych, następnie, w latach 1910–1917, we Włocławku. Ten pierwszy okres jego dojrzałego życia wypełniony jest aktami zaangażowania w pracę oświatową w duchu jeszcze pozytywistycznym (edukacja ubogich społeczności małomiasteczkowych i wiejskich), a także pierwszymi kontaktami z Towarzystwem Krajoznawczym (zawiązanym w 1906 roku). Krajoznawstwo łączy z pracami botanicznymi, o których była już mowa. W II Rzeczypospolitej (o kształt jej granic walczył we Lwowie w 1918 i pod Warszawą w 1920 roku) pogłębia studia przyrodnicze i, obroniwszy doktorat, rozpoczyna karierę naukową – niezbyt szybką i spektakularną, lecz niezwykle owocną. Jej najważniejsze etapy to kolejne stanowiska na Wydziale Leśnym w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego oraz w Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Tych dwóch miejsc pracy i dwóch środowisk naukowych nie opuści aż do śmierci w 1955 roku.

Jadwiga Kobendza urodziła się w 1895 roku w Dąbrowie Górniczej, ale edukację na poziomie średnim skończyła już w Warszawie. Tu też rozpoczyna naukę w studium pedagogicznym i – podobnie jak jej przyszły mąż – pierwsze dorosłe kroki stawia w zawodzie nauczyciela. Studiuje geografię na tym samym co Roman wydziale Uniwersytetu Warszawskiego – filozoficznym. Jednak jej pozycja jako kobiety w międzywojennej nauce



fot. Jarosław Barański

nie mogła być silna. Aż do wybuchu drugiej wojny geografka chwytą się więc mniej lub bardziej regularnych zajęć w szkołach i bibliotekach, jako rzeczoznawczynie współpracuje między innymi z Warszawską Spółdzielnią Mieszkaniową. Kariera Jadwigi Kobendziny jako badaczki na dobre rozpocznie się dopiero w Polsce Ludowej, a związana będzie z Uniwersytetem Warszawskim (z zakładami subdyscyplin geograficznych i z Ogrodem Botanicznym) oraz z Polską Akademią Nauk. Pani profesor umiera w 1989 roku, w trzydziestolecie utworzenia Kampinoskiego Parku Narodowego.

Mimo różnicy wieku (dziewięć lat) bronili swoich doktoratów (to „Stosunki fitosocjologiczne Puszczy Kampinoskiej” oraz „Studium geograficzne Puszczy Kampinoskiej”) w tym samym 1926 roku. Cóż za piękna fabuła – w tym też roku się pobrali. Puszcza połączyła Kaczorowską z Kobendzą; wokół Puszczy skoncentrowała się niemal cała ich życiowa energia; kondycja Puszczy, jej restytucja po pierwszej, a potem po drugiej wojnie były ich wspólnym dziełem. Ich dokonaniem będzie też wreszcie wyznaczony na tych terenach równo sześćdziesiąt lat temu park narodowy. Dla niego będzie to osiągnięcie pogrobowe; jej dane będzie strzec dziedzictwa jeszcze przez kilkadziesiąt lat.

Badacze, nauczyciele, społecznicy

Roman przez większość życia poszukiwał odpowiedzi na pytanie, jak drzewa wchodzą w kontakt z otoczeniem, Jadwigę zaś chyba najbardziej zajmowała kwestia interakcji roślin z ruchomym podłożem, a w szczególności dynamiki zmian formacji piaszkowych. On swoje zagadnienia formułował często w stosunku do roślinności nadwodnej, drzew porastających bagna i torfowiska, ona najczęściej pisała o wydmach. Jedno i drugie znajdowali stosunkowo niedaleko Warszawy.

Działalność naukowa i dydaktyczna to tylko część ich aktywności. Od początków znajomości zaangażowani byli w ruch krajoznawczy i promowali odpowiedzialną turystykę. Rezerwaty chcieli zakładać po to, by uchronić je przed ludzką ingerencją (zwłaszcza wycinką i zabudową), ale już o Puszczy Kampinoskiej jako całym kompleksie nigdy nie myśleli inaczej, jak o terenie otwartej pedagogiki krajobrazowej i ekologicznej dla mieszkańców stolicy. Zastanawiali się nad godzeniem interesów ludzi jako turystów, wymagających określonej infrastruktury noclegowej i gastronomicznej, z potrzebami fauny i flory puszczańskiej. Namawiali do wyjazdów za miasto, lecz niedaleko (Kampinos, Grójec, Warka, Wawer, najdalej – Góry Świętokrzyskie lub w górę Wisły do Kazimierza czy pod Puszcze Białowieską), do uważnego patrzenia na rośliny i formy terenowe. Ich rozpoznawania i rozumienia uczyli nie tylko młodych botaników i geografów, lecz także – w publikacjach popularyzatorskich, w tym w przewodnikach – laików i amatorów.

Oboje pracowali – nierzadko społecznie – na rzecz przyrody miejskiej, warszawskiej, szczególnie parków. Jako wolontariusze dokumentowali ich stan podczas okupacji (Roman Kobendza zatrudniony był wtedy jako zwykły ogrodnik w Ogrodzie Botanicznym w Alejach Ujazdowskich, Jadwiga pracowała jako sprzedawczyni w sklepie, więc dla miasta pracowali po godzinach), a po wojnie działali na rzecz ochrony zespołów zieleni i przywracania ich do dobrej formy. Współpracowali z Biurem Odbudowy Stolicy, w jego ramach opracowywali plany naprawy zniszczeń w świecie przyrody i wytyczania nowych przestrzeni parkowych. Tych ostatnich nie rozumieli jako miejsc tworzących jedynie miłe okoliczności dla wielkomiejskich przechadzek. Przeciwnie, u Romana Kobendzy możemy doszukiwać się przekonania, że w tych stosunkowo małych zespołach przyrodniczych widział nowe światy, osobne społeczności roślinno-zwierzęco-ludzkie.



fot. Jarosław Barański

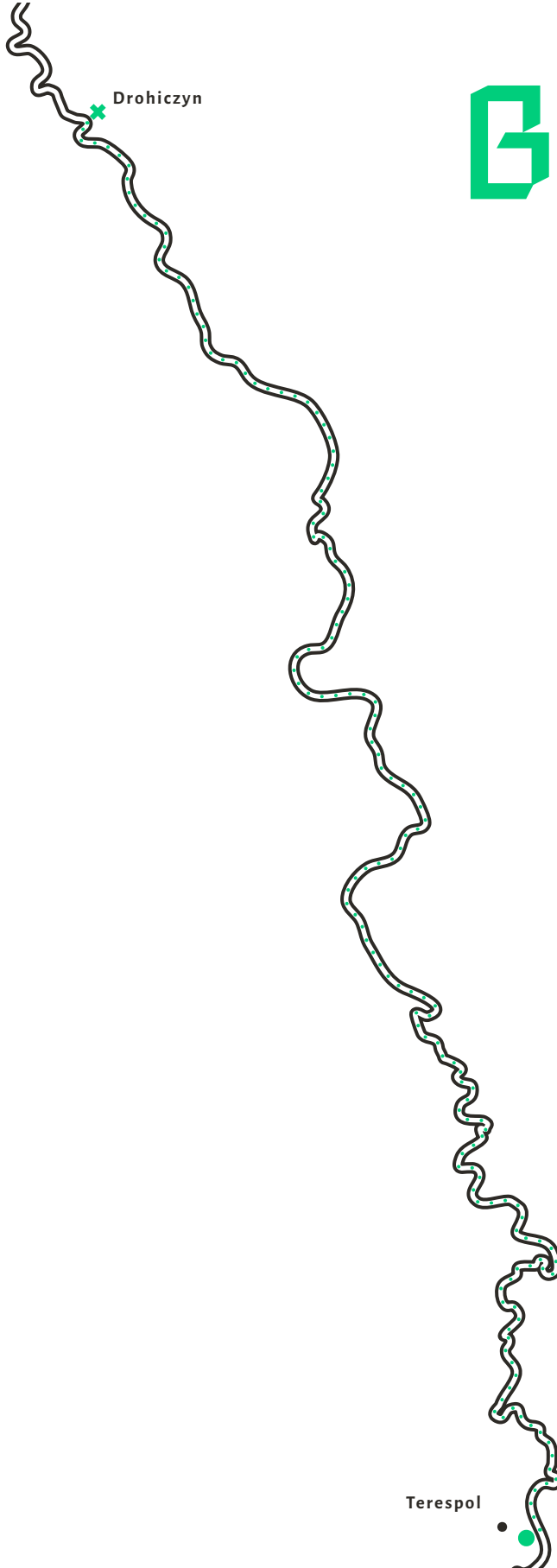
Z dwoma powyższymi polami działalności związana jest rzecz fundamentalna – ogólny pogląd Kobendzów na kwestię „czystości gatunkowej” chronionych leśnych obszarów, zwłaszcza podmiejskich, czyli tych narażonych na nieustanny kontakt z cywilizacją ludzką. Z ochroną przyrody jest podobnie jak z konserwacją zabytków – spotkamy różne zwalczające się wzajemnie szkoły i podejścia indywidualne wobec tego, co należy zachować, co wolno unicestwić, a w co i na jakich zasadach można ingerować. Wśród ludzi gospodarujących przyrodą granice między permissywizmem a ortodoksją przebiegają często po liniach profesji i form zaangażowania (leśnicy versus naukowcy, naukowcy versus ekolodzy, w tym ekolodzy amatorzy, i tak dalej), nieraz potrafią też głęboko podzielić jedno ze środowisk, na przykład naukowe. Przez cały XIX wiek krajobraz „naturalny” – podobnie jak krajobraz kulturowy – stawał się depozytariuszem treści wspólnotowych, nośnikiem znaczeń fundamentalnych dla lokalnych społeczności, spoiwem narodowego imaginarij, lepionego w ciągu tego stulecia. Wraz z narodzinami krajoznawstwa nowoczesnego na przełomie XIX i XX wieku ten zestaw znaków i wizualnych odwołań (mam tu na myśli wszelkie albumy widoków polskich, zarówno przyrodniczych, na przykład Tatr, jak i cywilizacyjnych, na przykład klasztoru jasnogórskiego) zaczął się petryfikować, został ułożony w kanon. Odzyskanie niepodległości jedynie wzmocniło ten

proces, a znaczenie zyskiwały też krajobrazy naturalne, które mając za zadanie opowiadać o esencji polskości, przechodziły na służbę Narodu i Państwa.

Kobendzowie, pisząc o Puszczy Kampinoskiej, również grali tą kartą, lecz trudno uniknąć wrażenia, że byli bardziej otwarci na nieortodoksyjne rozwiązania. Tak jak konserwatorzy zabytków, którzy bez wyjątku odwołują się do możliwie najdawniejszych udokumentowanych form urbanistycznych czy architektonicznych, lecz wyciągają z nich różne wnioski: jedni pieczołowitego (choć wciąż arbitralnego, jak na warszawskiej Starówce) odtwarzania przeszłości, inni – swobodnego nawiązania (np. elbląska „retrowersja”, „hanzeatycki postmodernizm”). Podobnie przyrodnicy walczą o odtworzenie leśnych stosunków w formie najbliższej pierwotnej lub po prostu o to, by las żył i działał. Kobendzom obca była obsesja restytucji i zachowania form najdawniejszych. Nie pozwalała na to też zastana postać Puszczy Kampinoskiej, zabudowanej ludzkimi osiedlami i wsiami. Nie licząc kilku rezerwatów – wytyczonych zresztą jeszcze w latach 30. z inicjatywy Romana Kobendzy – puszcza, o której ochronę walczyli, jest swego rodzaju fantazją o puszczańskości, terenem dopiero wtórnie dziczejącym, niejako popadającym w pradawność dzięki zewnętrznej stymulacji leśników. ●

(Tekst ten ukazał się również w rozbudowanej formie na łamach „Magazynu Kontakt”).

BUG



Drohiczyn

Terespol

Ostatnia dzika rzeka

JAN MENCWEL

Jeśli Puszcza Białowieska jest pozostałością pierwotnej puszczy, która porastała kiedyś Europę, to Bug jest pierwotną rzeką – taką, jakie kiedyś przecinały nasz kontynent gęstą siecią i stanowiły barierę trudną do pokonania.

Ryby

– Biorą dziś?

To było chyba najgłupsze pytanie ze wszystkich, jakie mogłem mu zadać. Dlaczego nie spytałem o to, jak się tu dostał? Albo czy nie boi się o swoje życie? A może to ja o czymś nie wiem i w tym miejscu można legalnie dostać się nad rzekę? Miałem zaledwie kilka sekund do namysłu i gdy obok niego przepływałem, przyszło mi do głowy tylko to głupie pytanie, czy ryby biorą. Nawet nie wiem, czy zrozumiał, chociaż uśmiechnął się i mruknął coś, uchylając kapelusika. I tyle go widziałem, bo już za chwilę leniwy zwykle, ale w tym miejscu jak na złość nieco szybszy nurt zniósł nas kilka metrów dalej. Co się z nim stało? Czy nie złapie go za chwilę straż graniczna? A jeśli tak, to co mu grozi? Przecież on żyje w totalitarnym państwie, chociaż z perspektywy rzeki wygląda to tak spokojnie i pięknie.

Jedyny człowiek na prawym, białoruskim brzegu Bugu, jakiego spotkaliśmy w ciągu całego tygodnia spływu, siedział sobie jakby nigdy nic nad rzeką i łowił ryby. Tuż za nim rozciągała się słynna białoruska, a wcześniej radziecka „sistema”. To system zasieków, drutów kolczastych i wież strażniczych, który ma całkowicie odciąć Białorusinów od rzeki.

Jak dokładnie wygląda i działa, tego nie wie zapewne nikt oprócz strażników. My, Europejczycy, mamy szczęście – żyjemy po tej „właściwej” stronie. Nie będziemy przecież uciekać na wschód, więc nie trzeba nas straszyć zasiekami. Możemy nawet po Bugu służyć, trzeba się jedynie zameldować straży granicznej. Możemy nad Bugiem rozbić namiot i w nim spać. Ograniczenia dotyczą jedynie kąpania się w rzece i palenia nad nią ognisk. Ci z drugiej strony nad rzekę nie mogą nawet wyjść. Z wyjątkiem krótkiego odcinka na wysokości białoruskiego Brześcia oraz kilku mostów na przejściach granicznych nie mogą nawet zobaczyć, jak wygląda jedna z ostatnich dzikich rzek Europy, która od tej Europy ich oddziela.

Ptaki

Z daleka wygląda jak biały płat kory na drzewie. Błyszczą w słońcu, siedzi i patrzy jakby z ukosa. Czeka, aż się zbliżysz, ale za każdym razem zwiewa, kiedy już ci się wydaje, że tym razem uda się przepłynąć tuż obok niej. A ona usiądzie za kolejnym zakrętem i zabawa zacznie się od nowa. Czapla biała jeszcze niedawno w Polsce uchodziła za rzadkość, ale jej liczebność w ostatnich latach się zwiększyła. Nad takimi dzikimi, nieuregulowanymi rzekami jak Bug, które w dodatku lubią rozlewać się wiosną na okoliczne pola i łąki, czaple mają raj.

I nie tylko one. Nad Bugiem występuje dziś 158 gatunków ptaków, w tym większość (69 procent) lęgowych.

Albo taki zimorodek. Po angielsku *kingfisher*, król ptaków-rybaków. Chwyta ryby, nurkując pionowo w dół z ogromną prędkością. W Polsce coraz mniej liczny ze względu na częste zagospodarowywanie przez ludzi dzikich brzegów rzek i jezior oraz likwidowanie naturalnych skarp. Na Bugu, zwłaszcza na przygranicznym odcinku, zimorodka zobaczyć można kilka razy dziennie. Czapla na Bugu jest jak gołąb w mieście, a zimorodek – jak wróbel. Tę pierwszą wypatrzysz od razu, tego drugiego musisz nauczyć się wyłuskać wzrokiem gdzieś wśród gałęzi, jak połyskuje swoim błękitnym maleńkim grzbietem.

Drzewa

Ile razy w życiu marzyliście, żeby na jakiś czas kompletnie odciąć się od cywilizacji? Jeśli szukacie miejsca w Polsce, a może w ogóle w tej części Europy, żeby wcielić ten pomysł w życie, nie możecie znaleźć nic lepszego niż graniczny odcinek Bugu. Gdyby płynąć Bugiem wzdłuż granicy

z Białorusią i patrzeć cały czas w prawo, można by przez dwa tygodnie nie zobaczyć śladu człowieka. Tylko ogromne drzewa, gęste krzaki, lasy łąkowe, ogromne piaszczyste skarpy, po których zsuwają się pnie drzew. No i oczywiście ptaki, które korzystają z tego, że w ten pas czystej, dzikiej przyrody człowiek nie ingeruje w znaczący sposób od dziesiątek, a w pewnym sensie nawet setek lat. Bo Bug to rzeka, która mimo że pełniła istotne funkcje handlowe, nigdy nie została poddana regulacji. Mówi się o Bugu, że to ostatnia dzika rzeka Europy. Jeśli nie ostatnia, to na pewno jedna z nielicznych. Dzika w tym sensie, że na całym jej polskim biegu nie ma ani jednej zbudowanej przez człowieka tamy, ani jednego proggu wodnego. Gdy do tego dodać długość przygranicznego, odciętego od świata odcinka – aż 363 kilometry – zaczynamy rozumieć, jaki prezent dostaliśmy od losu, że do dziś Bugu nie udało się nikomu zabetonować. Jeśli Puszcza Białowieska jest pozostałością pierwotnej puszczy, która porastała kiedyś Europę, to Bug jest pierwotną rzeką, taką, jakie kiedyś przecinały nasz kontynent gęstą siecią i stanowiły barierę trudną do pokonania.

Czy w czasach, kiedy coraz więcej mówi się o powrocie do natury, ktoś z tego prezentu korzysta? Prawie nikt. W szczycie sezonu letniego przygranicznym odcinkiem Bugu pływają nieliczne, głównie jednodniowe spływy. – Mało kto biwakuje nad rzeką. Tak jak wy, na tydzień, już prawie nikt nie pływa. A przecież rzekę można poczuć, dopiero jak się na niej spędzi przynajmniej jedną noc – mówi z niedowierzaniem Marek, zimą instruktor narciarski, a latem kajakarz i właściciel wypożyczalni sprzętu wodnego w Sławatyczach.

Woda

„Po parogodzinnych staraniach usługowych faktorów stałem się za kilka rubli posiadaczem starej, na pół zgniłej, dużej łodzi i dodanych do niej wspaniałomyślnie akcesoriów żeglarskich, składających się z nadłamanego wiośła i szufelki (»korczaka«) do wylewania wody i dwóch wąskich ławek”. Tak zaczął się najślynniejszy i zapewne pierwszy niehandlowy spływ Bugiem w historii, opisany przez Zygmunta Glogera w książce „Dolinami rzek” z 1903 roku. Gloger wpadł na pomysł wówczas rewolucyjny i mogący uchodzić za fanaberię: spłynąć rzeką w celach krajoznawczych. Choć wtedy nie używał jeszcze tego określenia, to kilka lat później stał się współzałożycielem Polskiego Towarzystwa

Krajoznawczego. Spływy Glogera Bugiem, Biebrzą, Wisłą i Niemnem to jedno z wypraw założycielskich polskiego ruchu krajoznawczego.

Gdy czyta się dzisiaj relację z jego spływu Bugiem, uderza to, jak mało zmieniła się sama rzeka, a jednocześnie jak wielką transformację przeszło jej otoczenie. Płynący Bugiem Gloger wpadał na te same mielizny, podziwiał te same skarpy, podglądał te same gatunki ptaków co my prawie 120 lat po nim. Nic dziwnego – jakiegokolwiek zmiany biegu rzeki czy ingerowanie w jej nurt było zakazane od, uwaga, 1548 roku. Na ten rok datowana jest „uchwała sejmowa [...] orzekająca, że Bug począwszy od Sokala, nie może być nigdzie żadnymi groblami hamowany, pod karą 200 marek srebra”. Czy to pierwszy w historii Polski akt ochrony przyrody? Być może tak, choć oczywiście ochrona ta miała na celu zachowanie spławności rzeki do celów gospodarczych.

Bug Glogera jest w zupełnie innym miejscu na mapie świata. To też swego rodzaju granica: rozdzielająca Polskę centralną od kresów. Ale to jednocześnie także centrum świata. Po jednej i po drugiej stronie nad Bugiem leżą ośrodki kultu religijnego, pałace szlachty, miasta, jak dziś białoruski Brześć, dla których rzeka pełni funkcje handlowe, dostarcza żywności... Dziś większości z tych nazw nie odnajdziemy nawet na mapie, są gdzieś ukryte po drugiej stronie „sistemy”, oddzielone od nas nie tylko, jak kiedyś, rzeką, ale lasem łęgowym i drutem kolczastym. Lecz brzeg po polskiej stronie też nie pozostał bez zmian. To dlatego, że dziś zupełnie zanikło flisactwo, za czasów Glogera jeszcze żywe i nieprzeczuwające swojego zmiernictwa. Pamiątką po tej profesji pozostały już tylko ślady bindug, czyli miejsc, gdzie nad rzeką zwoziło się drewno i zbijało tratwy do jego spławiania.

Piach

„Stan wody Bugu układa się w strefie wody niskiej i wynosi...” – kto z nas nie zna tego komunikatu z Programu Pierwszego Polskiego Radia? To, że Bug bywa bardzo płytki przy niskim stanie wody, nie powinno być żadnym zaskoczeniem. Pisał o tym już Zygmunt Gloger: „Piasek ten [...] ciągle tworzył mielizny, czyli tak zwane przez orylów »haki«, po których łódź nasza, mająca dno wypukłe i zanurzająca się dość głęboko w wodzie, zaczęła się czołgać i zatrzymywać dość często”. W dzisiejszych czasach nie trzeba już mieć wypukłego dna i głębokiego zanurzenia, żeby mieć



fot. Dawid Zieliński



problem ze spływaniem Bugiem. Nasze nisko zanurzone, płaskodenne kajaki stawały na mieliznach kilka razy dziennie.

W ostatnich latach polskie rzeki wysychają w alarmującym tempie. To efekt zmian klimatycznych, które powoli przeradzają się w coraz poważniejszy kryzys. W tym roku, w sierpniu w 320 miejscowościach w Polsce ogłoszono konieczność ograniczenia zużycia wody – właśnie ze względu na niski stan rzek, w których zlokalizowane są ujęcia powierzchniowe. „Przeciętny człowiek problem wysychania rzek zobaczy, gdy wody zabraknie kompletnie. Porównałbym to do nowotworu. Pierwsze symptomy też są niewidoczne. Dopiero po przekroczeniu pewnego stadium się nasilają. Teraz się o tym dyskutuje, dostrzegamy symptomy” – mówił przy tej okazji hydrolog, doktor Mateusz Grygoruk z warszawskiej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”.

Można tylko wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby wszedł w życie plan utworzenia wzdłuż Buga kanału żeglownego w ramach budowy tak zwanej drogi wodnej E40. Woda do kanału byłaby według projektu pobierana właśnie z Bugu lub z jego dopływów. Bug stałby się wówczas „częścią europejskiego systemu żeglugi śródlądowej”. Brzmi dumnie, ale efekty dla przyrody i walorów turystycznych rzeki byłyby zabójcze. A przecież cała inwestycja miała być prowadzona właśnie pod płaszczykiem ekologii. Bo transport rzeczny jest bardziej przyjazny środowisku niż transport drogowy. Tyle tylko, że zdaniem naukowców skutki budowy takiego kanału okazałyby się katastrofalne. „Zaplanowany kanał wzdłuż Bugu w każdym z trzech zaproponowanych wariantów wywarłby skrajnie niekorzystny wpływ na stosunki wodne w regionie, znacząco zwiększając częstotliwość susz i obniżając poziom wód gruntowych na większości przyległych do niego obszarów” – piszą w raporcie dotyczącym oddziaływania projektowanego kanału E40 na pobliskie rzeki i mokradła naukowcy pod kierownictwem doktora Grygoruka.

Brzeg

Gdy po 1945 roku do Polski włączono Ziemię Zachodnie (tak zwane Odzyskane), szybko pojawiły się na nich dwie grupy przybyszów: „pionierzy” z centralnej Polski oraz repatrianci, a później także przesiedleni siłą w ramach akcji „Wisła” Ukraińcy i Łemkowie. Te dwie grupy pojawiły

się na nowych terenach z zupełnie innym bagażem doświadczeń, a często także kodem kulturowym. I to właśnie Bug stał się w tamtych czasach symboliczną granicą pomiędzy dwiema grupami Polaków. Wśród Polaków z centralnej Polski pojawiły się nawet pogardliwe określenia na tych „zza Buga”, które do dziś można usłyszeć w miejscowościach na zachodzie i północy Polski. Dziś stereotypowe określenia odnoszące się do rzeki przenoszone są na coraz liczniejszych w Polsce Ukraińców.

Tak oto mimochodem rzeka kolejny raz odgrywa jakąś przypisaną jej przez ludzi rolę w polityce, kulturze, historii. I tylko pytanie, kiedy Bug wreszcie zacznie się Polakom kojarzyć z tym, czym jest przede wszystkim – z przyrodą. Dziką i nieujarzmioną, której historia i polityka nie zdołały zniszczyć. ●

Zawiercie

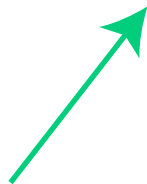
● Józefów

Ogrodzieniec

Podzámce

▲
Góra Janowskiego (Zamkowa)

OGRO
DZIE
NIĘC



Ogrodzieniec. Początek

JAN WIŚNIEWSKI

Jest gorący lipiec 1885 roku. Na dworcu kolejowym w Zawierciu z pociągu jadącego w stronę Warszawy wychodzi dziewiętnastoletni Aleksander Janowski. Choć tego nie widać na pierwszy rzut oka, to różni się on od wszystkich pozostałych podróżujących. Wsiadający i wsiadający na stacji Zawiercie wojażują przede wszystkim w interesach. Przyjechali lub jadą doglądać licznych zakładów, które od czasu otwarcia warszawsko-wiedeńskiej linii kolejowej czterdzieści lat temu wyrastają jak grzyby po deszczu. Inni to zapewne urzędnicy, z pewnością przygnały ich tutaj biurokratyczne zadania, których nigdy nie brakuje w nadgranicznej strefie w pobliżu styku trzech cesarstw – rosyjskiego, austriackiego i niemieckiego. To pewnie do tej grupy po ubiorze pozostali podróżni mogliby zaliczyć Janowskiego. W czasie pracy jest on rzeczywiście jednym z nich: po niedawnym ukończeniu warszawskiej kolejowej Szkoły Technicznej objął posadę urzędnika kolejowego w Sosnowcu i to właśnie stamtąd wyruszył w niezbyt długą podróż, korzystając zresztą z darmowego biletu przysługującego pracownikom kolei. Tym razem nie przyjechał jednak do Zawiercia w sprawach zawodowych, co zdradza chociażby postać jego towarzysza, równie młodego człowieka, o pseudonimie Maljasz, który jest awangardowym malarzem i dokładnie na takiego wygląda. Nie odwiedzają także rodziny ani znajomych. Trudno ich nawet posądzić o realizowanie dość dziwnej, choć mocno promowanej w tamtych czasach metody podreperowania zdrowia za pomocą terapeutycznych przejażdżek pociągiem. W rzeczywistości, choć nikt z pewnością by się tego nie domyślił, dwaj młodzieńcy przyjechali tutaj w bardziej ekscentrycznym



fot. Tomek Kaczor



celu, niż wskazywałby na to wygląd Maljasza czy sugerowała moda na kolejowe terapie. Wsiadają bowiem w Zawierciu, by uprawiać krajoznawstwo. O tym w industrialnym miasteczku nikt z pewnością jeszcze nie słyszał.

Po opuszczeniu stacji planują pójść na kilkunastokilometrowy spacer, którego celem jest zamek w pobliżu Ogrodzieńca. Powiedzieć o tym miejscu, że czasy świetności ma za sobą, to niewiele. Od czasu wielkiego pożaru na początku XVIII wieku zamek ulega coraz większej dewastacji. Resztki wyposażenia już dawno zostały wyprzedane przez niezainteresowanych dziedziców, kamień z zamkowych murów sukcesywnie staje się budulcem miejscowych domów, a co lepiej zachowane detale architektoniczne wykorzystano w kaplicy w pobliskim Podzamczu. Zamek w najlepszym wypadku stanowi bazę surowca wtórnego, po który zajeżdża się wozem zaprzężonym w mocne konie, aby nie zsunąć się ze sporej stromizny.

A tymczasem Maljasz i Janowski chcą go odwiedzić, by doświadczyć piękna i emocji. Pomysł, by szukać ich właśnie pośród ruin średniowiecznych budowli, nie był ich. Od czasów gorączki romantycznej młodych ludzi szukających podobnych wzruszeń spotykało się całkiem sporo. Tyle że bardziej od krajowych ruin z białego wapienia poruszały ich antyczne grobowce czy gotyckie łuki opuszczonych klasztorów, które można było obejrzeć podczas modnych podróży na Zachód. Po ziemiach polskich nikt *grand tourów* nie odbywał, więc rodzime pozostałości nie cieszyły się większym zainteresowaniem. Wyprawa Maljasza i Janowskiego ma więc w sobie coś mocno pionierskiego i chyba tak też czują się młodzi mężczyźni, a swoim zachowaniem, z autoreżyserskim zacięciem, starają się dostosować do podniosłego charakteru chwili. Pierwszy przysiada na kamieniu, wyciąga szkicownik i portretuje starożytne rumowisko. Drugi, jak sam to określa, „staje jak wryty”, „przeżywa niezapomniane wstrząsy”, porównuje się do krzyżowca docierającego do Jerozolimy i cytuje fragmenty „Sonetów krymskich”. A gdy tylko zapada noc i w pobliżu zamkowej kaplicy pojawia się ubrana na biało żebraczka, obaj – trochę z przerażeniem, trochę z nadzieją – biorą ją za „panią zamczyska”.

Wcześniej z kolei idą nieśpiesznie, meandrując między dwiema rzekami: Wartą i Czarną Przemszą. W duchu beztroskiej włóczęgi nie odpuszczają żadnej okazji, by ochłodzić się w ich nurcie i wzruszyć piękną przyrodą. Jednocześnie w akademickim stylu ekscytują się tym, że wody

każdej z nich należą do różnych działów – Warta do Odry, Przemsza do Wisły. To połączenie liryzmu i zachwytu z encyklopedycznym zacięciem będzie potem cechą charakterystyczną ruchu, który za swój mit założycielski przyjmie wyprawę do Ogrodzieńca, wraz z jej kulminacyjnym momentem, czyli burzą, która w środku nocy rozpętała się nad zamczyskiem. To właśnie wtedy Janowskiemu zaświtała podobno myśl, by założyć Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Przez kolejne kilkadziesiąt lat wiele się zmieni. Z okolic Sosnowca zniknie trójgranica. Państwa, które były nią podzielone, przestaną istnieć, przekształcając się w inne lub gwałtownie zmieni się w nich ustrój. Janowski z anonimowego dziwaka-włóczykija stanie się nestorem polskich krajoznawców, a ci trochę słusznie, a trochę w odruchu sympatycznej fanfaronady będą się uważać za ważne ogniwo w splocie wydarzeń, które doprowadziły Polskę do niepodległości w 1918 roku. Swoje działania – organizowanie wycieczek, tworzenie muzeów krajoznawczych, edukacja młodzieży, wydawanie czasopism – prowadzi będą nadal pod szyldem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, ze znakiem przedstawiającym wpisany w koło zamek w Ogrodzieńcu, od którego wszystko się zaczęło. A wszystko po to, by Polacy mogli odczuć wrażenia i emocje, których doświadczyli Janowski i Maljasz tego pamiętnego, lipcowego dnia. Jak napisał Janowski:

Czy wielu ludzi mogło widzieć takie czary? Miljony Polaków nie wiedziały, że jest jakiś Ogrodzieniec, lub gdzie go szukać. Miljony Polaków kraju swego nie zna, a powinno znać, by tym goręcej go kochać.

Minął kolejny wiek i w listopadzie 2019 roku, w 101. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, z tego samego dworca w Zawierciu do zamku w Ogrodzieńcu ruszyła rekonstrukcja historyczna wyprawy Janowskiego. Cel był ten sam: zachwycić się Ogrodzieńcem. Od 1885 roku idea pieszej turystyki zdążyła zatoczyć koło i po okresie wielkiej popularności, gdy polskie piesze szlaki pełne były turystów, znów stała się czymś niszowym i egzotycznym. Dlatego im dalej od Zawiercia, w miarę jak podmiejski park staje się lasem, a ścieżki do chodzenia z psami zamieniają się w prawdziwe szlaki, to coraz trudniej jest spotkać innych spacerowiczów. Przedstawiciele lokalnego PTTK, czyli spadkobiercy PTK, zapewniają, że to nie jest tylko kwestia pory roku.

Nie oznacza to jednak, że zamek Ogrodzieniec znów jest anonimowym usypiskiem skał i kamieni na obrzeżu niewielkiej miejscowości. Przeciwnie, stał się on największą lokalną atrakcją, magnesem dla rzeszy zwiedzających (tylko w 2015 roku, jeszcze przed otwarciem nowej trasy turystycznej, było ich 160 tysięcy) i ważnym zasobem lokalnej gospodarki. Tyle tylko, że prawie nikt nie przybywa tam pieszo – zdecydowana większość wybiera samochody, niezmotoryzowani mogą skorzystać z kilku autobusów kursujących między zamkiem a Zawierciem. By zatrzymać przybywających jak najdłużej, pagórek, na którym stoi zamek, obrósł turystyczną infrastrukturą: sklepami, gastronomią, torem saneczkowym, parkiem linowym. Poniżej ciągną się równe pola improwizowanych parkingów. Można więc powiedzieć, że życzenie Janowskiego spełniło się w dość opaczny sposób. Miliony dowiedziały się o Ogrodzieńcu, a samochodowe nawigacje podpowiadają im, gdzie należy go szukać. Zabrakło jednak pewnej wstrzeźliwości i szacunku do krajobrazu kulturowego, by zachować to miejsce w stanie zbliżonym do tego, w jakim mogli oglądać je Janowski i Maljasz. Oczywiście nie oznacza to, że zamek nie jest miejscem wartym odwiedzin. Gdy turysta już przedrze się przez pas kramów i wejdzie w obręb murów, skalne bloki i średniowieczne mury na tle panoramy Zagłębia i Jury mogą zdecydowanie przyprawić o zachwyty. Trzeba jednak pamiętać o wzrokowej dyscyplinie i nie pozwalać oczom zanadto się rozbiegać, bo zbyt łatwo w kadr mogą wedrzeć się dmuchańce. Doświadczeniem z pewnością godnym polecenia jest też piesza droga do zamku ze stacji kolejowej – tam, z dala od budynków i dróg powiatowych, trafić można na wiele miejsc, które wyglądać musiały niemal identycznie już wówczas, gdy entuzjazmował się nimi Aleksander Janowski. Dzięki temu, że nie zapierały wówczas tchu w piersiach, udało im się dotrzeć do dziś w miarę niezmienionej formie. ●

SKARLANKA



Skarlanka

Jezioro Partęczyny Wielkie

Jezioro Dębno

Jezioro Robotno

Jezioro Ciche

Jezioro Kurzyny

Jezioro Zbiczno

Skarlanka

Jezioro Strzemiuszczek

Jezioro Kochanka

Jezioro Strażym

Skarlanka



fot. Wojtek Radwański



Co widział ksiądz Łęga?

Wyprawa przez Pojezierze Brodnickie

MARCIN ZALEWSKI

Wyjeżdżamy z lekkim opóźnieniem. Są nas cztery pełne samochody. Kierowcy teoretycznie mają trzymać się auta z kajakami. Jest spory ruch i po postoju w Tereszewie po prowiant gubią konwój. Nad wodę przybywamy spóźnieni, a na wody jeziora Wielkie Partęczyny wpływamy z półtoragodzinnym opóźnieniem. Na pokładach dziesięciu kajaków i dwóch kanu są dorośli, kilkanaścioro dzieci i pies. Przed nami spływ kajakowy najbardziej widowiskowym fragmentem rzeki Skarlanki i jej dopływu Cichówki.

Skąd dzieci, konwoje i warszawskie tablice rejestracyjne na Pojezierzu Brodnickim? Za wszystkim stoi ledwie pięciostronicowy tekst napisany przez księdza Władysława Łęgę w 1926 roku. Ksiądz Łęga to postać z życiorysem w pełni oddającym trudne losy polskiej inteligencji na Pomorzu. Urodził się w 1889 roku w Miranach (obecnie Mirowice, niem. Mirahnen) w powiecie sztumskim. Był synem polskiego nauczyciela. Na własnej skórze przeżył falę strajków szkolnych w obronie nauczania religii w języku ojczystym. Wykształcenie odebrał w Wielkopolsce, gdzie należał do kół filomackich, a następnie w seminarium w Pelplinie. To tam, za sprawą podróży do Królestwa Kongresowego oraz poznania ks. Stanisława Kujota, współzałożyciela fundamentalnego dla badań wielokulturowego Pomorza Towarzystwa Naukowego w Toruniu, zachwycił się krajoznawstwem, etnografią i archeologią.

Ksiądz Łęgi nie oszczędziły burzliwe narodziny Rzeczypospolitej. Jako obywatel niemiecki był na froncie zachodnim, gdzie trafił do niewoli amerykańskiej pod Verdun. Do kraju wrócił już jako hallerczyk, by chwilę

później agitować w swoich rodzinnych stronach w sromotnie przegranym plebiscycie na Warmii, Mazurach i Powiślu. Po 1920 roku zamieszkał w Grudziądzu, aktywnie działając na rzecz polskości i kultury tego miasta garnizonowego. Po drugiej wojnie światowej przebywał w Sopocie, gdzie zmarł w 1960 roku.

Życiorys pracy kaptańskiej Władysława Łęgi jest pełen wyjazdów, badań i poszukiwań oraz publikowanych tekstów dotyczących terenów Żuław, Powiśla, Kociewia, ziemi chełmińskiej i lubawskiej. Bezspornie najważniejszą pracą badacza jest „Ziemia malborska”, która była przyczynkiem do udowodnienia obecności żywiołu polskiego w zachodniej części Prus Wschodnich. Ksiądz Łęga był twórcą płodnym, który prezentował swoje zbiory i obserwacje w wielu wydawnictwach. To właśnie w czasopiśmie „Ziemia. Dwutygodnik Krajoznawczy Ilustrowany” z roku 1926 roku nasz gigant krajoznawstwa opublikował niewielki tekst dokumentujący jego wycieczkę na Pojezierze Brodnickie.

To był letni wyjazd wykształconego kapłana na prowincję. Nie dziwi więc, że do interesujących go punktów podjeżdżał bryczką udostępnioną przez miejscowego majątkarza czy dzierżawcę. Mimo to ksiądz Łęga nie miał problemu z rzuceniem do napotkanego chłopca pomorskiego powitania „Boże pomagaj”. Ksiądz Łęga był baczny obserwatorem detalu architektonicznego chałup wiejskich w Grzmięcy, Cichem, Pokrzydowie, Łąkorzu czy Skarlinie. Notował wygląd figurek świętych. Mimo to w jego tekście opisującym wyjazd na teren pomiędzy Brodnicą a Nowym Miastem Lubawskim dominującą rolę gra krajobraz związany z rzeką Skarlanką.

Przenieśmy się kilka lat do przodu. W czasopiśmie »Sport Wodny« z 1933 roku redakcja we wstępie do relacji dra Kleina, prof. Ryłskiego i inż. Niewiadomskiego pisze: „W szeregu ostatnich nr „Sportu Wodnego” umieszczamy opisy szlaków wodnych Pomorza. Mimo świetnych połączeń kolejowych, mimo bliskości wielkich miast i morza, Pomorze jest bardzo mało znane przez wodniaków. A niesłusznie, bo wody pomorskie to tereny niemniej piękne i ciekawe od renomowanych wód Wileńszczyzny”. Po zachęcającym wstępie zaczyna się techniczny opis wypraw kajakowych trasami, których część odcinków współcześnie jest dostępna co najwyżej dla łosi. Ryłski i Niewiadomski relacjonują czółganie się pod kładkami, brodzenie po „skrzepniętym rosole z makaronem”, ciągłe przedstawianie sieci na ryby i pocieszają, że liny od spławiania drewna nie przeszkadzają w spływie. Plastyczne oddanie wielkiego uporu krajoznawczego

wodniaków kończy się pozytywnym zdaniem: „ludność z wycieczkami oswojona i do kajakowców nastawiona zyczliwie”.

Przedstawienie tras wodniackich przez księdza etnografa pozwala odkryć kolosalne zmiany krajobrazowe, jakie nastąpiły w ciągu minionych dziewięćdziesięciu lat w okolicach Skarlanki. Stąd za przewodników w wyprawie śladami księdza Łęgi posłużyli założyciele Fundacji Wybudowania z pobliskiego Kurzętnika, która zajmuje się zmianami w krajobrazie regionu.

Skarlanka, oś naszej wyprawy, jest dopływem Drwęcy. Rzeczka liczy sobie dwadzieścia sześć kilometrów długości, z czego niemal w połowie płynie przez rynnowe jeziora. Jej dolina to pozostałość największej rynny wyoranej przez lodowiec i przyczynek do utworzenia w 1985 roku Brodnickiego Parku Krajobrazowego.

Po tych wszystkich słowach wprowadzenia wreszcie mogliśmy rozpocząć porządną spływ kajakowy. Na początku jezioro Wielkie Partęczyny – największy akwen pojezierza i powiatu nowomiejskiego. W oddali widać rezerwat – wyspę Wielka Syberia, jej nazwa pochodzi od położonych tam ziemianek, w których rybacy przetrzymywali aż do maja wycinany zimą lód. Na przeciwległym brzegu widać również dawną bindugę, jedną z kilku na naszej trasie. To największy fenomen tej trasy. Jeszcze we wczesnych latach sześćdziesiątych spławiano tędy drewno sosnowe do Brodnicy. Prowadzone przez flisaków długie na ponad sto pięćdziesiąt metrów tratwy dryfowały wąskimi kanałami i przez jeziora. Mężczyznom pomagał jedynie wiatr, długi dyl i rozwieszane gdzieś liny na palach. Znakomity opis tej pracy na pobliskim jeziorze Bachotek dał Ryszard Kapuściński w reportażu „Ocalony na tratwie” ze zbioru „Busz po polsku”.

Wizja potężnych tratw i mozołu flisaków porusza wyobraźnię uczestników. Jak zawsze płyniemy z fragmentami pruskiej mapy Messtischblatt z 1911 roku w rękę. Widać, gdzie stała rybacówka, gdzie spuszczano drewno. Widać, że władze pozwoliły na rozbudowę domów letniskowych przy samotniczej osadzie Robotno. Wprawne oko zaczyna dostrzegać zmianę poziomu wody po budowie młyna jeszcze w czasach krzyżackich. Słyszymy od wędkarzy o zaniechaniu bagrowania (pogłębiania koryt rzecznych) i wycinki trzciny, o zarastaniu i dziczeniu.

Płyniemy przez Wielkie Partęczyny, Dębno, Robotno, Kurzyny, zaglądamy w kierunku Strzemiuszka. Na moście w Gaju-Grzmięcy postój.

To tutaj ksiądz Łęga na szczytach chałup wiejskich widział „motywy ptaka i tworzu, który swą zaokrągloną górną częścią i rozdwojoną dolną przypomina rybę”. Dolna woda to już jezioro Strażym. Zmieniamy plany. Zamiast dwóch grodzisk na cyplu jeziora i wyspy na jeziorze Bachotek wybieramy kierunek północno-zachodni i wpływamy w Cichówkę. Ciek wziął nazwę od wsi Ciche, serca parku krajobrazowego, gdzie już w okresie międzywojennym działała baza wypoczynkowa, a ksiądz Łęga pisał o wielu zachowanych lokalnie formach rzemiosła. Przez biorącą nazwę od wsi strugę wpływamy na najgłębsze na pojezierzu jezioro Zbicžno. Wiatr, kormorany, strome brzegi, potężne sosny i kierunek leśniczówki Rytebłota – wszystko to sprzyja mocniejszemu wiosłowaniu.

Na mecie lokalni uczestnicy wyprawy rozmawiają, przyjezdni się kąpią. Wszyscy są zmęczeni, ale nie pojawiły się żadne problemy techniczne. Na koniec jeszcze raz cytujemy naszego patrona – krajoznawcę. „Wracałem z Pojezierza Brodnickiego z tym przeświadczeniem, iż zwiedziłem jedną z najpiękniejszych na Pomorzu pod względem krajobrazu okolicę, która może być źródłem nie tylko przyjemnych wrażeń, ale i kopalnią badań naukowych”.

Zespół autorski

JAROSLAW BARAŃSKI – absolwent ochrony środowiska, robi zdjęcia, często ucieka do Puszczy Kampinoskiej.

FRANCISZEK BOJAŃCZYK – przewodnik warszawski oraz pilot wycieczek po Europie Środkowej, Izraelu i Skandynawii. Studiował hebraistykę i historię w Warszawie, Tel Awiwie i Pradze. Chcąc dzielić się dobrymi opowieściami założył Central Europe Company, biuro podróży po Europie Środkowej. Współzałożyciel portalu Polska To Tu.

DOROTA BORODAJ – reporterka, animatorka, członkini Towarzystwa Krajoznawczego Krajobraz, absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu, laureatka Grand Prix Festiwalu Wrażliwego. Członkini Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

TOMEK KACZOR – fotograf, redaktor Magazynu Kontakt. Laureat konkursów World Press Photo i Grand Press Photo 2020. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

PIOTR KUBKOWSKI – kulturoznawca i historyk kultury, adiunkt w Instytucie Kultury Polskiej UW. W badaniach i praktyce własnej zajmuje się sportem oraz podróżami. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

JAN MENCWEL – animator kultury, aktywista, członek Krajobrazu i stowarzyszenia Miasto Jest Nasze. Redaktor magazynu Kontakt. Autor książki „Betonozą”. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA – kulturoznawczyni, animatorka kultury, kuratorka, autorka książek „Wędrowny Zakład Fotograficzny” oraz „A co wyście myślały? Spotkania z kobietami z mazowieckich wsi” (wspólnie z A. Zbroją). Członkini Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

JERZY PARFIANOWICZ – grafik i animator kultury, absolwentem wiedzy o kulturze w IKP UW. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

WOJTEK RADWAŃSKI – jest fotoreporterem związanym z agencją AFP - publikuje w polskich i światowych mediach. Fotografuje bieżące wydarzenia, politykę oraz życie codzienne. Współpracuje z Archiwum Protestów Publicznych. Ponadto dla WFDiF fotografuje spektakle Teatru Telewizji. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

JAN WIŚNIEWSKI, historyk, członek zespołu Fundacji Stocznia, nauczyciel historii, krajoznawca. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

MARCIN ZALEWSKI – etnograf i dziennikarz. Współprowadzi Fundację Wybudowania. Mieszka w Lipowcu pod Nowym Miastem Lubawskim.

DAWID ZIELIŃSKI – Fotograf. Współpracuje z prasą polską i zagraniczną, instytucjami kultury, fundacjami i stowarzyszeniami. Ostatnio szczególnie aktywny w ramach Archiwum Protestów Publicznych. Mieszka w Krakowie. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

JAROSŁAW ZIOLKOWSKI – z wykształcenia filozof i psycholog, członek redakcji Magazynu „Kontakt”, drobny przedsiębiorca. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

SZCZEPAN ŻUREK – geograf, kartograf, nauczyciel. Członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”.

KRAJOBRAZ

